

TYGODNIK  
ŁÓDZKI  
Rok III  
Łódź 22. V.  
1960 r.  
Nr 20 (116)  
Cena 1 zł

Wpisano do inwentarza  
19 Rejonu w...  
Dla...  
Dn. 21 Nr. V

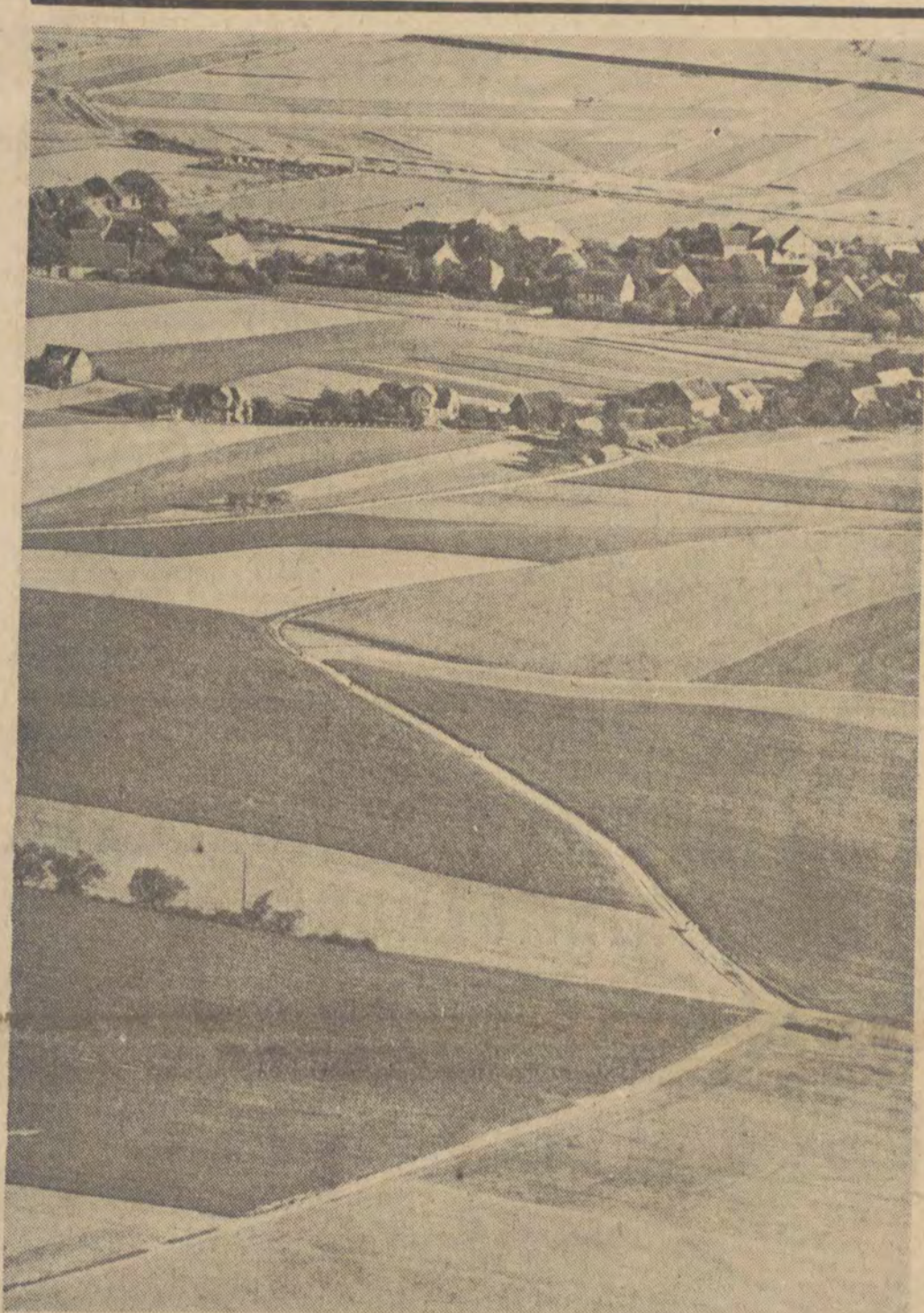
# Chessman



Caryl Chessman został stracony. Zdawałoby się, że sprawa jest zakończona. Tymczasem opinia publiczna na Zachodzie zareagowała na tę egzekucję oburzeniem.

Nasza prasa zamieściła depesze o tym oburzeniu. W wyobrażeniach polskich czytelników powstał mit niewinnie straconego bohatera.

o sobie  
str. 7



JAN ADAMOWSKI

## GDZIE DWÓCH SIĘ BIJE, TAM TRZECI... TRACI

Moimi towarzyszami podróżu są dwie młode i ładne pracowniczki Banku Inwestycyjnego w Łodzi. Pierwsza jest absolwentką Wyższej Szkoły Ekonomicznej. Wszystkie zjawiska zachodzące w naszym kraju ocenia — jak to zwykli czynić ekonomiści — z punktu widzenia rotacji pieniądza.

— „Każda zamrożona złotówka” twierdzi „powoduje” w skali rocznej 15 procent strat oczywiście dla państwa. Trzeba więc, żeby pieniądz krążył... Druga — jest inżynierem-elektrykiem i... fanatycznym poszukiwaczem zabytków architektonicznych. Ich wiek, razem wzięwszy, niewiele przekracza 50 lat, lecz od ich opinii zależy, czy bank będzie finansował inwestycje, czy też zamknie konto na cztery spusty.

Możecie sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywołuje na inwestorach „wizyta młodych

pań”. Każdy dyrektor największego nawet kolosa przemysłowego mięknie na ich widok niczym plastelina w rękach uczennicy szkoły podstawowej. No bo kto może wiedzieć co też ci bankowcy wyszperają w kolumnach liczb? A zabierają się do tego z wprawą godną profesorów rachunkowości, z tą różnicą, że czynią to z wdziękiem. Znany to przywilej młodości, no i oczywiście — pięknej.

Wybieram się z nimi do Działoszyna, miejscowości prawie nieznannej mieszkańcom Łodzi.

Jest to nieduża gromada w powiecie pajęczańskim, leżąca na południe od Włocławka, tuż „pod nosem” Śląska. Ma za sobą kilkaset dobrych lat, o czym świadczy jedynie tu zabytek, stary zmurzwały zamek z XVII wieku, którego ostatnim właścicielem był hrabia Meczynski — z rodu arystokratycznego, fundator miejscowego kościoła.

Podobno pan Meczynski, choć człek bogobojny nie należał do ascetów. W pięknej i dużej sali rycerskiej hrabiowskiego zamku przepuścił wraz z kompaniami całą fortunę, a zamek i przyległości odkupił człowiek pospolitego już pochodzenia, lecz mocnego trzosa — pan dziedzic Banaś. Widocznie i Banaśowi posmakował ów tryb życia (a może licha ziemia nie dawała tyle dochodów), skoro po kilku latach sprzedał majątek łódzkiemu fabrykantowi — Dobiaszowi, a ten z kolei bogatemu kupcowi — Szylitowi.

Dziś po wielkiej ongiś fortunie, pozostały jedynie sypiące się od starości grube mury Czerwona tabliczka głosi, że pozostają pod obroną Ministerstwa Kultury i Sztuki. Jednakże saskiewka ministra Galińskiego jest zbyt szczupła na rekonstrukcję wszyst-

kich pomagnackich ruin, i zamek działoszyński pozostałby nadal miejscem wieczornych igraszek dzieci, gdyby nie łódzki ZIS (Zjednoczone Sanitarно-Instalacyjne).

Oto od szeregu miesięcy przeprowadza się tu kapitalny remont, instaluje światło elektryczne, łazienki i prysznic, przerabia się harabierzowskie sale na sypialnie dla przyszłej kolonii dziecięcej. Nasza ekonomistka, która wszystko przelicza na bręczącą monetę, zainteresowała się przede wszystkim kosztami remontu, a inżynier elektrotechnik — celowością inwestycji.

— „Przenicowanie” zamku pochłonie około 3 milionów złotych — odpowiedział nam kierownik budowy skromnie spuszczać oczy. Pan inżynier spojrzęła nań z wyrzutem, a z ust jej popłynęło słodkie, jak miod i kaśliwe, jak żądło osy, pytanie: — a po co? Czy nie słuszniej byłoby postawić za tę sumę nowoczesny lekki budynek kolonijny w jakimś uroczym miejscu nad rzeką?

Istotnie, wokół — pustki. Z dawnego parku magnackiego, pełnego najszlachetniejszych drzew sprowadzonych z dalekich krajów nie pozostało ani śladu. Dopiero teraz sady się młode i swojskie olszyny, które za 10—15 lat świadczyć będą o inicjatywie dzisiejszego ZIS. Ale nie to jest najważniejsze, Zamek, nawet po wy-

Dalszy ciąg  
na str. 9



Ogólny widok budowy

W ankiecie



dziś  
Wiesław Górnicki  
w następnych  
numerach  
Stanisław Dygat  
i Jerzy Putrament

O Kopciuszku  
i elektroluksie  
opowieść  
współczesna  
na str. 6

## Nasza szkoła

Można powiedzieć, że mamy czym pochwalić się przed światem. Wydawnictwo „Słask” wydało tomik Apollinaire'a w nakładzie 77.553 egzemplarzy, za jedne 4 złote sztuka. Na okładce książki widnieje nazwisko francuskiego poety, pod tym zamazany rysunek czerwonej kobiety i ręka z wycelowanym w nią rewolwerem.

Apollinaire zajmując w tomiku tylko 5 i pół strony druku. Resztę — 90 stron — zapisał autor kryminałów p. Mortier. O tym jednak okładka milczy. Wdzięczną całość dopełniają wszystkie wewnątrz tomiku dwa foty gwiazd filmowych, opatrzone na odwrócić zwierzyli życiorysami. Ow pomnik dobrego smaku edytorskiego i działalności upowszechnieniowej wydany został w serii „Złotej podkowy”.

Wielki Apollinaire nie był więc jednak z panem Mortier. Francuski klasyk popełnił kiepskie opowiadanie, (Marynarz pod przymusem zabija jedną lady, Marynarz z kolei zabija lord, Papuga pełni rolę jego wyrzutę sumienia). Pan Mortier popełnił zaś kiepskie kryminały. (Bratanek spadkobierca zabija wuja i tworzy sobie alibi; każe miano-

wicie aktorowi udawać jego samego. Aktor udaje, wszyscy biorą aktora za bratanka, a zmyślny inspektor ma chwilę natchnienia, idzie do tego aktora i wszystko odkrywa).

Podają te streszczenia, aby Czytelnik, broń Boże, nie myślał, że w tomiku są jakiegokolwiek dysonanse. Nie. Panuje w nim harmonijna koegzystencja wielkiego poety i kiepskiego kryminał-pisarza.

Poprzedni tomik mieścił utwory spółki panów Azderballa i Balzaka. Z tym wszakże, że na okładce eksponowany był Azderball, a Balzak ukryty został w jego cieniu. Całość również uzupełniały foty gwiazd. Nakład tym razem — 100 tys. egzemplarzy.

Tylko pozornie owe różnice w ekspozycji mogą się wydać mało znaczącym przypadkiem. Fakt, że uprzednio eksponowało się bardziej pokupnego od Balzaka rodzimego fabrykanta kryminałów, a teraz chowa się obcego tandecjarza w cieniu nazwiska Apollinaire'a, jest świadectwem ważnych przemian, jakie zachodzą w naszej polityce kulturalnej w ogóle, a wydawniczej w szczególności.

Wpierw chodziło nam w „złoty podkowy” tylko o zyski. Chowało się więc Balzaka gdzieś w środku tomiku, żeby z jednej strony nie odstraszał czytelników

spragnionych Azderballa, z drugiej zaś obniżał koszty wydawnictwa przez swoje istnienie (Balzakowi, jak wiadomo nie płaci się honorarium).

A teraz nie. Zależy nam nie tyle na pieniądzu, co na wydawaniu w masowym nakładzie Apollinaire'a. Więc poeta ładuje na okładkę, bez względu na antyreklamowosć takiego awansu, a w jego

Mann, tytuł „Zab”, otwieramy książkę, czytamy: „Zab zupa, dab” z podpisem Manna. Dalej już leci sobie spokojnie „Zły” Tyrmanda, n drażniąc czynników i n psując proporcje w spraw zaniach firm, wydawniczych.

Cała metoda nie jest znów taka nowa, jak by to się pierwszy rzut oka wydawało. Już nasze praprabab-

## Apollinaire pod strzechami

cienu dyskretnie się chowa francuskiego kolegi pana Azderballa. I proszę, już na wystawach sklepowych mamy same dobre nazwiska. Już w planach wydawniczych nie dominują autorzy kryminałów — Polska wydaje i Polska czyta Apollinaire'a. Jedno proste posunięcie a jakaż rewolucja kulturalna, jaki przewrót gustów!

Szkoda, że nowatorskiej metody Wydawnictwa „Słask” nie stosują powszechnie inne wydawnictwa. Głowę dam, że np. Tomasz Mann napisał kiedyś, przynajmniej w szkolnych latach, jakieś jedno zdanie typu „Zab, zupa, dab”. Wydajmy więc tom Manna. Na okładce: Tomasz

czytawali „Dekameron” w okładce wyciętej z „Żywotu świętego Tomasza”. Tyle, że owe praprababki same preparowały sobie takie książkowe pomniczki pruderii. A teraz skończyło się z reżymem i praktyki ba-bek stosuje na wielką skalę nasz drogi socjalistyczny przemysł wydawniczo-poli-graficzny. Zawsze rzecz dzieje się z postępem.

Ludzi zatroskanych o naszą politykę kulturalną pragnę wszakże pocieszyć, że i owa nieszczęsna „Złota podkowa” jest świadectwem pozytywnych przemian. Bo w zjawisku pruderii nie jest rzeczą obojętną, czego dotyczy wstyd: Balzaka czy Azderballa. Z tym wszakże, iż

powyższą napaść. Raczej w to wątpię. Między nami gentlemanami wzmianki o wstydlivych czynnościach i żenujących praktykach bliźniego ów bliźni zwykły pomijać milczeniem. Tak jest elegancji. Gdyby wszakże Wydawnictwo „Słask” uznało za stosowne wytłumaczyć się ze swego wydawniczego kombinatorstwa zapewne argumentowałoby, że w wydaniu „Złotej podkowy” poza ideałem zawartym w przymiotniku „złoty” przyświeca mu zbożna chęć jakiegoś np. docierania z Balzakiem do środowisk nie nawykłych do dobrej lektury”.

Byłoby to wszakże oczywiście budzą na resorach. Gdyby Picasso namalował makietę z jeleniem na rykowisku, czyniąc owocne starania, żeby nie była ona lepsza od makietek anonimowych „artystów”, to sprzedawanie takiej makietki w albumie z innymi makietkami nie zbliżyłoby Picasso do nas. Bo jego jeleni pozostał by tylko jeleniem.

trwa już długo.

Jeśli gigantyczne nakłady, na które wyrzuca się papier istotnie się rozchodzą, jest to bardzo smutne, ale jeszcze nie niepojęte. Niezrozumiałym jest dopiero to, iż w naszym systemie wydawniczym, systemie opartym o recenzje, rozmaite kontrole, podległość wydawnictw instytucjom zatwierdzającym pozycje i koordynującym ruch wydawniczy oraz instytucjom pośrednio i bezpośrednio kształtującym politykę wydawniczą — możliwe jest dawanie upustu (tak zlemu gustowi. Spokojnie odbijanie tak skandalicznej serii. Jakim cudem to się dzieje? Na to pytanie wypada już domagać się odpowiedzi.

Pytanie mniej istotne: co by spotkało prywatnego przedsiębiorcę, który by sprzedawał bioto w paczkach z napisem „czekolada” — rzucam tu mimochodem i zgola retorycznie.

BELFER

## LONGIN PASTUSIAK

### Ubezpieczenia społeczne a wybory

Po angielsku nazywa się „lobby”, ale w języku polskim nie ma odpowiednika, który jednym wyrazem oddałby cały sens tego słowa. „Lobby” wiąże się ściśle z kongresem amerykańskim i oznacza najogólniej biorąc nacisk na posłów wywierany przez ludzi reprezentujących pewne organizacje lub grupy społeczne. Kiedyś słynne było w USA tzw. „China Lobby” na czele z konserwatywnym senatorem Knowlandem, nieprzecieżnym przeciwnikiem Chin Ludowych. Od czasu porażki wyborczej Knowlanda w 1958 r. działalność tej grupy zmalała.

Ale oto jesteśmy świadkami działalności lobistów w innej dziedzinie. „New York Times” w specjalnym artykule poświęconym tej sprawie pisze, że najbardziej interesującą działalność ostatnich czasów, jaką rozwinęli lobisci, to sprawy ubezpieczeń lekarskich dla emerytów. Bezpośrednim powodem wzmocnionej działalności lobistów jest projekt ustawy przedstawiony przez Aime J. Foranda, kongresmana demokratycznego ze stanu Rhode Island. Ustawa, biorąc ogólnie, zobowiązuje rząd federalny do pokrycia kosztów leczenia, operacji, oraz domu wypoczynkowego dla emerytów w ciągu 120 dni w roku. Projekt przewiduje również, że rząd może pokryć koszty pobytu emeryta w szpitalu, jeżeli czas jego leczenia nie przekroczy 60 dni.

Projekt jest więc ograniczony. Biorąc pod uwagę fakt, że emeryci, a więc osoby powyżej 65 lat o nadzszym piętym zdrowiu, wymagają stałej opieki lekarskiej. Projekt tylko częściowo rozwiązuje wielki dziś w USA problem pokrycia kosztów opieki lekarskiej.

Służba zdrowia i lekarstwa w Ameryce są bardzo

drogie. Już niejednokrotnie podnosiły się głosy za tzw. „Socialized medicine” — medycyną uspołeczną, tak jak u nas lub nawet w innych krajach kapitalistycznych np. w Anglii. Lekarze dentyści, pielęgniarki każą płacić sobie honorarne sumy za leczenie i opiekę. Emeryci, którzy mają dochody minimalne, nie są w stanie opłacić drogiego wizyt lekarskich a już prawie niemożliwością dla nich jest zdobycie funduszy na operację lub dłuższy byt w szpitalu.

W tym roku 15,5 mln emerytów amerykańskich postawiło wszystko na jedną szalę, by wywalczyć ubezpieczenia społeczne. Nie jest kwestią przypadku, że właśnie teraz sprawa nabrała największego rozgłosu. Wszak to okres kampanii wyborczej. W walce o głosy żaden kandydat nie śmie narazić się kilkunastu milionom wyborców. Mr. Forand przedstawił projekt ustawy w Kongresie, a emeryci wysyłają tysiące specjalnych drukowanych listów prosząc kongresmanów ze swoich okręgów, by poparli „Forandbill”.

Potężne organizacje rozpoczęły, jak nazywa „New York Times” „educational work” — pracę wychowawczą, przekonując członków Izby Reprezentantów, dla czego powinni zająć takie czy inne stanowisko. Ustawę o ubezpieczeniach dla emerytów popierają AFL—CIO, amerykańskie związki zawodowe zrzeszające kilkanaście milionów robotników, różne stowarzyszenia liberalne jak np. Americans for Democratic Action i Narodowa Unia Farmerów oraz niezliczone kluby i organizacje skupiające emerytów lub ludzi o poglądach liberalnych.

Ale siły przeciwników ubezpieczeń są również groźne. Rej wodzą lobisci z American Medical Association — organizacji skupiającej lekarzy i służbę zdrowia. Ci sprzeciwiają się, jako że emeryci są najczęściej pacjentami, a w razie ubezpieczenia ich, trudniej będzie zdierać skórę i dochód le-

karzy zmniejszy się. W sukurs lekarzom przychodzą dwie potężne organizacje wielkoprzemysłowe: Krajowe Stowarzyszenie Przemysłowców (NAM) oraz Chamber of Commerce. Cóż ich obchodzi los emerytów. Dla nich są to tylko byli robotnicy, nieprzydatni już, inaczej mówiąc dżumozjadzy.

Ale nie tylko dlatego panowie bankierzy i właściciele fabryk piekają się i występują przeciwko ustawie Foranda. Fundusze na wspomniany program ubezpieczeń mają się wziąć z podwyższenia podatku na ubezpieczenia społeczne z 3 na 3 1/4 proc. Podatkowani byłiby zarówno pracodawcy jak i robotnicy. To jednak wystarczy, by businessmeni z Krajowego Stowarzyszenia Przemysłowców i z Chamber of Commerce zaciekle wystąpili przeciwko ustawie. Stać ich przecież na to, by przeznaczyć duże sumy na kampanię propagandową i „działalność wychowawczą” wśród kongresmanów.

A emeryci, których roczny dochód przekracza za ledwie tysiąc dolarów również nie tracą nadziei. Trzej demokratyczni aspiranci na stanowisko prezydenta: Kennedy, Humphrey i Simington poparli projekt ustawy. Wprowadziło to w zakłopotanie Nixon, pretendenta do Białego Domu z ramienia republikanów. Zakłopotanie było tym większe, że rząd Eisenhowera jest przeciwny ustawie i uważa ubezpieczenia za zbiteczny wydatek i poza tym „niepotrzebna” ingerencja państwa w sprawy gospodarcze.

Nixon nie było w Waszyngtonie, kiedy podjęto tę decyzję. Natychmiast po jego powrocie odbyła się druga narada, w wyniku której już następnego dnia sekretarz zdrowia Flemming złożył oświadczenie, że rząd traktuje ubezpieczenia dla emerytów jako „urgent business” — pilną sprawę. Nixon zdaje sobie sprawę ze wzrostu nastrojów liberalnych. Pragnie uchodzić za liberała określenie „pilna sprawa” nic go nie kosztuje, a może przysporzyć tylko więcej głosów.

Losy ustawy są wciąż niepewne. Rząd amerykański dotychczas nie przedstawił własnych koncepcji. 15 mln emerytów czeka na wynik. Najbliższe tygodnie powinny pokazać, czy rząd wyborczy będzie jak zawsze dotąd tylko rokiem niespełnionych obietnic.

## WIESŁAW GÓRNICKI

### KONFORMIZM I POWSZECHNA NIEMOŻNOŚĆ



Zagadka sportu? Moim zdaniem, nie ma żadnej zagadki. Nie ma, ponieważ cały problem daje się sprowadzić do dwu tylko zjawisk, które naukom społecznym znane są od dawna i których nie ma po co odkrywać na nowo.

Po pierwsze, w przypadku masowego kibica, mamy do czynienia z zespołem rozpowszechnionych fenomenów psychosocjologicznych należących do tej samej kategorii, co np. masowa ekstaza podczas pielgrzymek religijnych (Mekka, Lourdes, Benares, Kalwaria), co wypadki zbiorowego amoku wśród tłumu przy okazji rozruchów, niepojęta na pozór psychologia linczu i samosądu czy wrzeszcz kolektywne orgie u społeczeństw bardziej prymitywnych.

Po wtóre, w przypadku rzekomych lub autentycznych intelektualistów, wychodzą najczęściej na jaw zakorzenione kompleksy, niekiedy zwykły bluff a przede wszystkim konformizm wobec populistycznych gustów, ideałów i bożków.

To wszystko. Nie sądzę, aby w tej pożytecznej skądinąd dyskusji można było powiedzieć coś więcej ponad dotychczasowe ustalenia socjologów i psychologów. Skoro już jednak dyskusja się wywiązała, chciałbym dorzucić do niej swoje trzy grosze zaprzysięgłego wroga wszelkich, a więc i sportowych, nabożeństw, mitów i tuższych bogów.

Szanowni preopinanci moi! trafnie zwrócił uwagę, że dzisiejszy sport wycynowy nie ma wiele wspólnego ze

swym szlachetnym kolegą z czasów antycznych, jeśli nie liczyć paru celebrazji. Zwycięzca ówczesnych olimpiad był równym wśród równych; nie wiem dokładnie, jak to było z wynikami, ale z całą pewnością przodujący dyskobol mógł zostać wyzwany przez każdego mężczyznę z widowni na mniej więcej wyrównany pojedynek. Laur wieniec indywidualną zręczność, siłę, grację nie centymetry i ułamki sekundy. Ale o czym dziś świadczy drużynowe mistrzostwo w piłce nożnej albo zwycięstwo ekipy w wyścigu kolarskim? Najwyżej o tym, że sześciu lub jedenastu panów konsumuje odpowiednio wysoką ilość kalorii, miewa regularne stolce i korzysta z zabiegów doświadczonych masażystów. Granice rekordów wysrubowano do ostateczności, w ich pobliżu mogą się obracać tylko patentowani zawodnicy bez względu na firmę pod którą występują. Hodujemy więc, jak zwierzątko, długonogie do biegów, tępagłowych do boksu, barczystych do pływania, Hodowla obrasta ambicjami i polityką, ciężką forsa, intrygami, klubowymi kacykami, międzynarodowymi jazdami i prezesami. Polska we władzach federacji ping-ponga? Sukces! Skrzywdzono naszych przy meczu? Dyskryminacja!

Nie ma to wszystko nic, ale to nic wspólnego z kulturą fizyczną, z naturalną i wrodzoną człowiekowi potrzebą ruchu, wysiłku, nawet współzawodnictwa. W najważniejszych dyscyplinach rekordy światowe są dwa albo i więcej razy wyższe niż możliwości przeciętnie wysportowanego, młodego człowieka. Na domniemane, wszystkie te konkurencje sportu, które sprawność fizyczna łączy w sposób naturalny z wysiłkiem umysłowym, kwalifikacjami i zasobem wiedzy technicznej — clesza się z reguły minimalnym zainteresowaniem. Takie np. szybownic-

two, gdzie pilot musi mieć sporo wiadomości z sześciu co najmniej dziedzin, bo inaczej nie przeleci nawet kilometra, albo żeglarstwo, gdzie bez nawigacji meteorologii ani rusz — czyż pasjonują tłumy? Nie, jedynie co podnieca rasowego kibica, to gry głupie i prymitywne, oparte na bezsensownym wysiłku mięśni, nużące monotonią sytuacyjnej i stale tym samym dylemacie: trafi—nie trafi? Dojedzie—nie dojedzie?

A zatem potrzeba hazardu. Sama w sobie nie straszna, w jakiejś mierze wspólna wszystkim, Putrament celnie kiedyś odkrył, że zainteresowanie mas sportem wynika po prostu z niepewności ze słodkiego dreszczyku hazardu. Gdyby było z góry wiadomo, która drużyna wygra, trele-morele o estetyce ruchu, ew. pięknie wysiłku nie trwałyby nawet godziny.

Prawda. Tylko dlaczego np. wyścig w badaniach kosmicznych nie budzi tak rozognionych emocji? Gdzie są nieprzytomni z wrażenia kibice oklaskujący Piccarda młodszego, że się opuścił na dno oceanu, sir Viviana Fuchs, że przebył Antarktydę, Alaina Bombarda że zgłował samotnie? Takie wyczyny nie są strawą dla tłumy, choć wymagają sto-krotnie większej wiedzy i co najmniej równego wysiłku. Brazylijska drużyna piłkarska, składająca się w połowie z półanalfabetów, zdobyła w swej ojczyźnie więcej honorów i sławy, niż miał jej wszyscy wielcy ludzie tego kraju. Prasa amerykańska podała wiadomość o odkryciu biologów kalifornijskich, drobnym dronkiem, pod olbrzymim anemsem o mistrzostwach baseballu. Czy polski kibic, znający na pamięć wszystkich byłych, aktualnych i przyszłych świętych Wyścigu



JAN IZYDOR SZTAUDYNGER

# FRASZKI

## Rosarium Łódzkie

Róża kole, rzekła matka  
Naśladujmy tego kwiatka.

## Na malarza Pieniążka

Pieniążek to szczęśliwy gość,  
My wszyscy siebie mamy dość.  
A jemu siebie wciąż za mało,  
Więcej pieniędzy by się zdało.

## Spółdzielnia

Spółdzielnia pracy:  
Safrin i Horacy.

## Na Dorobę

„Napisz Pan o mnie”. Odrzekłem Dorobie:  
„Dorób się czegoś, napisz o Tobie”.

## Jak chcesz

(na działalność w Łódzkim Wydawnictwie)

Jak chcesz, tak sobie łóżko uściel;  
I taś, ci je, jak chce, prześcili Chróścieli!

Władysław Aleksander Jarosław  
Marek

W literaturze polskiej są trzej Rymkiewiczze,  
Nie każdy ich odróżnia. Ja ich ledwo zliczę.



Kiedy Anders wyjeżdża na łódzką ulicę  
To nie na białym koniu, ale na plastyce.



## Miniaturzysta i awanturzysta

Miniaturski-Awanturyski,  
Jednym słowem Feliks Turski.

## „Dzieje Wacława” Mrozowskiego

Ja nie z soli, ani z roli  
Ale z sumy alkoholi.

Na Pogonowską

Stuchamy zapatrzeń, patrzymy zasluchani,  
Bo takie piękne wiersze i takiej pięknej pani.

## Modą fraszkopisów

Miłość nie zna zmęczenia,  
— Czy Pan się nie przecenia?

P. S.

Swisnąłem fraszkę Gicgierowi,  
Może nie dojrzy, albo nie nie powi!

## Prośba do Boga

Boże, zabierz Mackiewicza,  
A oddaj nam Mickiewicza.  
Bo wciąż ta sama ballada,  
Mackiewicz gada i gada.

## Na jubileusz łódzkiej B.B.

(Bolesława Busiakiewicza)

W radio przez trzydzieści lat  
Radio wpadło, czy on wpadł?



Pokoju wie cokolwiek o profesorze Kuryłowiczu, Steinhause czy Leykamie?

I otóż druga po hazardzie przyczyna: potrzeba tandetnych bohaterów. Tlum — używam tego pogardliwego słowa z pełną premedytacją — ubóstwia postacią rodem z oleodruków. Trudno przyjąć, aby masowy odbiorca płakał nad losem Emmy Bovary, gdyby nawet poznał jej losy, wiemy natomiast, że nasze siusiumajtki dostały wypieków na wieść o ślubie panny Linartas i zalewały się łzami, kiedy Eluchna Grabowski był laskaw się przewrócić na rowerze. Jest to ten sam gatunek emocji, piaskiej, prymitywnej i nieszkodliwej intelektualnie. Kreacja bohatera odbywa się na zasadzie podwórkowej ballady i maglarskiego patriotyzmu. Fakt, że o pewnym posiadaczu prywatnego warsztatu rowerowego układano niezdarne piosenki. Fakt, że znawcy biografii a-sów sportu są pożądani w towarzystwie i konsultowani w spornych kwestiach. Wbrew dyskusjom o bohaterstwie, zapotrzebowanie społeczne na bohatera istnieje. Tyle, że tandetnego.

Skąd się to bierze? Chyba, mówiąc najkrócej, z niskiego poziomu kulturalnego mas, poziomu jak dotychczas mało zależnego od ustrojów i rozwoju cywilizowanego. Podejrzewam, że reakcje kibica kapitalistycznego i socjalistycznego są ponuro identyczne. Zaprawienie przeciwnika w zęby wywołuje zawsze ten sam ponadklasowy ryk zachwyty, a trafna bramka likwiduje wszelkie resentymenty.

O kulcie gwiazd filmu i sportu wypisano już sporo i nie wydaje się możliwe, żeby tu coś jeszcze odkryć. Kult gwiazdy jest namiastką awansu kulturalnego, produktem ubocznym procesów demokratyzacyjnych, najprostsza i najłatwiejszą drogą do zasięgnięcia na pierwszym, najniższym szczeblu kultury masowej. Kult ten zaspokaja równocześnie potrzebę plotkarstwa, zastępuje znakomicie tradycyjne tematy rozmów towarzyskich, stwarza pozory odczytania. Oglupia skutecznie, dokładnie i bez pudła.

Co więcej, wytwarza nawet silną presję o charakterze bezwzględnie konformizmu. Jeżeli nie interesujesz się sportem, to znaczy,

że jesteś łamaga i niedojda, panny cię nie będą chciały, a w męskim towarzystwie się nie liczysz. Dalej: jeżeli się nie pasjonujesz szansami Gazdy, to znaczy, że masz w nosie dobre imię Polski. Na koniec: jeżeli się nie interesujesz głębokimi dociekaniami prasy sportowej i nie wygląda ci z kieszeni odpowiednie pismo, to znaczy, że jesteś obcy myślom, uczuciom i marzeniom połowy narodu, wynosisz się ponad lud, okazujesz inteligencję fumi. Najdotkliwszy i najcięższy do odparcia jest chyba pierwszy człon tego ciągu, który skomplikował życie niejednemu młodemu człowiekowi. Niewielu jest niezależnych nonkonformistów w dziewiętej czy jedenastej klasie.

Tu gdzieś trzeba też poszukiwać źródeł paradoksalnego zjawiska, że znajdują się intelektualisci skłonni występować w obronie obłądnego i irracjonalnego zjawiska, jakim jest sport wyuczynowy i jego wyznawcy. Najpewniej kryją się za tą postawą albo kompleksy natury osobistej (to nic, że noszę okulary i wyglądam jak zdechły szczur, w młodości byłem kapitanem drużyny) albo też typowy dla intelektualistów kompleks rozżęścia się z gustami ludu (skoro lud ubóstwia Gazdę, czy Skoneckiego i płacz nad Piechaczykiem, to czy przypadkiem nie tkwim w tym jakaś głęboka treść, której ja nie dostrzegam przez swe ograniczenia?).

Smutny problem, nieciekawie konkluzje. Żadnych genialnych recept nie można zaproponować. Proces przesiąkania treści kulturowych w masę nawet przy najbardziej energicznej polityce kulturalnej trzeba liczyć na dziesięciolecie. Odszedł Kolorczyński, Walasiewiczówna i Królak, odeszły Sidło, Malcherczyk i Krzesińska, przyjdą nowe gwiazdy, nowe rekordy, nowe kontuzje. Tylko ryk pozostanie ten sam. Długo, bardzo długo.

A pieniądze zawsze się znajdują. Bóstwa i kapłani żądają ofiar.



Foto — Dorys

## LEOPOLD BECK

Wobec „Nory” Barszczewskiej nie ma dla mnie innej postawy jak z czapką w rękę. Człowiek nie potrafi nawet sam ze sobą podyskutować jak w innych przypadkach kiedy nie wie na czym polega i jakiego kalibru jest to lub owo aktorstwo. „Nora” Barszczewskiej jest tak niedwuznacznie wielka, że nawet owej subiektywnej, wewnętrznej dyskusji nie podlega. A może to po prostu zbyt duży wymiar aktorstwa jak na możliwości analityczne dziennikarza?

Siła sceniczna „Nory” — jako tekstu wpływała kiedyś z prawdziwością postaci — je dnej z wielu kobiet, zdegradowanych przez męską cywilizację do czegoś w rodzaju odaliski w jednoosobowym haremie.

„Urządzili ten dom wedle własnego smaku” mówi Nora do męża po wielkim momencie samopoznania — „a smak ten z czasem stał się moim.” „Kiedy się

teraz nad tym zastanawiam, wydaje mi się że to życie moje tutaj było bardzo żalodne. Pejono mnie, karmiono, ubierano, a moją rzeczą było bawić cię i rozweselać różnymi sztuczkami...” „W domu ojca traktowano mnie jak małą lalczkę, tu, u ciebie, jak dużą...”

Uwielbiana kobieta, z prawami pani serca, domu i kółka towarzyskiego, ale jednak w gruncie rzeczy odaliska czy lalka, jak kto woli. Postać z lamusa typów społecznych? Tak. Prawdziwa tylko jako wspomnienie (i dla niektórych może jeszcze jako marzenie) czyli, precyzyjnie się wyrażając, jako „Wunschtraum”.

Z czterech osobistych dramatów odbywających się w „Domu Lalki” (tak się sztuka nazywała) właśnie dramat lalki był w swoim czasie społecznie najbardziej wymowny. Przecież bunt Nory stał się niejako wyrazem buntu sufrażystek przeciwko supremacji mężczyzny. Ale na współczesnego widza ten ładunek „Domu Lal-

# ELŻBIETA BARSZCZEWSKA w Teatrze Powszechnym

ki” już nie działa, chociaż był to dynamit literacki w dobie, kiedy wewnątrz mieszczaństwa rozgorzała walka o równouprawnienie kobiet. Wówczas Norę wspierał program feministyczny, czyli ze sceną współgrały namiętność społeczne widowni. Mogło się więc zdarzyć i zdarzało się nieraz, że entuzjastą wyprzegali konie również jakieś Norze.

Przesłankę sukcesu tej roli są dziś zupełnie inne. Aktorka grająca Norę nie ma już sprzymierzeńców na widowni, zachwycających się społecznym podtekstem więcej niż artystką. Z „Domu Lalki” pozostały tylko trzy dobre role i jedna świetna — w sztuce wielkiego dramaturga, demaskującego obłudny stosunek męskiej cywilizacji do sprawy kobiecej. Ale sprawa ta nie istnieje już w swej dziewiętnastowiecznej postaci. Nora jest sama z widownią i nie może ją inaczej poderwać, jak wyłącznie perfekcją gry.

Ale czy TA Nora nie ma znacznie ułatwionej sprawy — dzięki swojej niespotykanej urodzie scenicznej?

Uroda sceniczna jest tylko instrumentem, na którym można dobrze grać, jeśli się potrafi. Barszczewska robi to z wirtuozerią — wówczas na przykład kiedy, szczeniąc, przymila się mężowi (Ryszard Sobolewski), kiedy w rozmowie z przyjaciółką, panią Linde (Ewa Brok-Brzeska) fantazjuje o bogactwie z bajki, który mógł by ją wybawić z tarapatów.

Mimiczny akompaniament Barszczewskiej do tekstu partnerów i kontakt z nimi jest, zaryzykujemy to słowo, idealny. Zarówno w scenie, kiedy lichwiarz (Zbigniew Koczanowicz) grozi, zagląda domu lalki lub w czasie wyznań doktora Ranka (Miroslaw Szonert). A jak krzyczy tylko wrokiem — kiedy Helmer, moralista i gentle-

man, kochający dotąd swoją szczeniokę ponad życie, demaskuje się jako ostatniego rzędu tchórz i egoista.

Dopiero na twarzy Nory można zobaczyć, jaką olbrzymią skalę ma uśmiech — od zadowolenia do rozpaczy. Gradacja tego uśmiechu na twarzy Barszczewskiej jest chyba zjawiskiem wyjątkowym... tak jak intonacja tekstu, nadająca każdej scenie właściwy nastrój.

Powiedziano, że przesłankę sukcesu roli są dziś zupełnie inne niż były kiedyś. I to z jeszcze innego prócz już nakreślonego powodu.

W naszych czasach efekt spektaklu powstaje na skutek współoddziaływania tekstu, pomysłu i rozmachu inscenizatorskiego oraz scenografii. W tego rodzaju spektaklach aktora wspiera bardzo mocno inscenizacja, chwyt reżyserski obraz sceny. „Dom Lalki” czyli „Nora” należy do typu sztuk, w których aktorowi ani inscenizacja i scenografia, ani gagi reżyserskie dużo pomóc nie mogą...

Jesteś, siostrzo zdana w gruncie rzeczy wyłącznie na własny talent. Wyjdź i zwyciężaj!

Henryk Ibsen: Nora. Przełożył Jacek Frühling. Reżyseria: Zbigniew Koczanowicz. Dekoracje: Zdzisław Topolski.

odqtosy str. 3

# „Rudowłosa“



Wywiad japoński dysponował już w latach międzywojennych rozgałęzioną siatką szpiegowską w krajach Azji na Pacyfiku. Jednakże w strzeżonych strefach amerykańskich baz wojennych działalność jej nie dawała ciągle oczekiwanych rezultatów.

Ludzie stojący na czele wywiadu — tzw. Kempei Tai przypisywali te niepowodzenia różnicom rasowym, wykluczającym bliższe kontakty między kolonistami japońskimi, z których środowiska rekrutowali się zwykle szpiedzy, a białą-czarną załogą baz.

Agenci japońscy poprzestawali więc zwykle na zewnętrznej obserwacji obiektów, podczas gdy oddział operacyjny sztabu generalnego w Tokio zażądał po latach trzydziestych bardziej szczegółowych meldunków o planach operacyjnych sztabu amerykańskiego, rozbudowie umocnień, o nowych rodzajach broni itp.

Informacji takich mogli udzielić jednak tylko biali agenci, którzy bez trudu mogliby nawiązać bliskie kontakty z oficerami amerykańskimi. Wykorzystanie białych do służby w wywiadzie miało ponadto tę dodatnią stronę, że w wypadku wybuchu konfliktu zbrojnego między Japonią a USA nie podlegaliby oni w odróżnieniu od Japończyków internowaniu, a zatem mogliby nadal działać na rzecz wywiadu Mikada.

Kierownictwo Kempei Tai skierowało do szefów attaché wojskowych w Berlinie i Rzymie ściśle tajne pismo z rozkazem przeprowadzenia werbunku agentów do służby w wywiadzie. General Ito zalecił przeprowadzić werbunek, ze względów konspiracyjnych, za pośrednictwem zaprzyjaźnionych tubylców utrzymujących bliskie stosunki z japońskimi przedstawicielstwami dyplomatycznymi.

Za każdego zwerbowanego agenta, Japończycy płacili „naganiaczowi“ po 5000 marek, zaś świeżo upieczony szpieg otrzymywał dwa razy tyle.

Ochotników jednakże było niewiele. Kierownictwo Kempei Tai wzbraniało się zaś przed zatrudnieniem ludzi przysyłanych przez Gestapo, ponieważ zdawało sobie sprawę z niewielkiej

wartości takich agentów zgłaszających się do pracy w wywiadzie pod presją węższą za zyskiem poljei.

Nie więc dziwnego, że japoński attaché wojsk. w Berlinie był niezwykle uradowany zwerbowaniem pięknej, inteligentnej i świetnie znającej język angielski dziewczyny, do służby w Kempei Tai.

Wraz z córką zgłosił się jej ojciec, profesor orientalistyki i antropologii, Bernhard Kuehn Goebbels postanowił bowiem przekazać do dyspozycji Japończyków całą rodzinę, pozostawiając w Berlinie jedynie swego sekretarza, brata Ruth.

Przekonanie ojca i osiemnastoletniej córki o konieczności natychmiastowego wyjazdu na Hawaje i pracy dla Japończyków nie wymagało specjalnego trudu. Oboje byli zagorzałymi wyznawcami hitleryzmu i zainspirowane przez Goebbelsa polecenie NSDAP było dla nich wystarczającym rozkazem.

## SZPIEGOWSKA SIEĆ

W końcu września 1935 r. rodzina Kuehnów złożona z czterech osób, zaopatrzona w dokumenty zezwalające na osiedlenie się na Hawajach wydane przez Urząd Emigracyjny USA, wyładowała w Honolulu. Na świecie panował wtedy pokój, zakłócany jedynie dalekimi odgłosami radziecko-japońskiego konfliktu zbrojnego na Chajchin-Gol. Faszyzm dopiero przygotowywał się do wojny, wywiady jednak działały już bardzo aktywnie, gromadząc informacje o przyszłych przeciwnikach.

Zadomowiwszy się na wyspie, Ruth i jej ojciec nawiązali w ustalony poprzednio sposób kontakt z szefem japońskiej sieci szpiegowskiej na Hawajach, Otajiro Okudą, który polecił im przeprowadzić dokładne rozpoznanie topografii wysp, dróg i portów. Zadanie to para szpiegowska, ku wielkiemu zadowoleniu rezydenta Kempei Tai, wykonała w krótkim czasie i bez zarzutu. Pod pretekstem prowadzenia badań naukowych nad życiem, obyczajami i językiem wymierających wyspiarzy Bernhard Kuehn wraz z córką odwiedził wszystkie zakątki archipelagu uzyskując wiele cennych informacji o obronnych przygotowaniach Amerykanów. Życie płynęło im beztrudno. Wobec niewielkiej aktywności kontrwywiadu amerykańskiego, szpiegowskie zajęcia nie stwarzało dla Kuehnów żadnego niebezpieczeństwa. Otoczona rojem wielbicieli, re-

krutujących się zwykle ze środowiska wyższych oficerów US-Navy lub US-Army, Ruth bez trudu wciągała z nich ważne tajemnice sztabowe.

Na ich podstawie Oddział Operacyjny — Taishore Kaigun — (admiralicy japońskiej) przystąpił niezwłocznie do opracowywania planu ataku na bazy amerykańskie. O pracach tych dowiedział się jednak hitlerowski kontradmirał Canaris i postanowił wykorzystać rodzinę Kuehnów także dla własnych celów. Oba wywiady obowiązywała „dżentelmeńska“ umowa o wzajemnym nieingerowaniu w swoje interesy. Canaris jednak nie widział powodów, dla których Ruth i jej „cieć w tajemnicy przed swoimi japońskimi szefami, nie mieliby przekazywać zdobytych informacji także Abwehrze. Szef niemieckiego wywiadu uzyskiwał przez to możliwość kontrolowania planów Japończyków, którym niezbyt ufał.

Na jego polecenie kapitan Hochlein z Oddziału I Abwehry wyruszył w daleką drogę na Hawaje, gdzie nawiązał kontakt z Kuehnami i przy pomocy niezbyt delikatnych argumentów skusił ich do pracy także na rzecz tajnej służby Canarisa.

Odtąd kopie wszystkich informacji przekazywanych Japończykom płynęły także do Berlina. Dzięki temu Niemcy wiedzieli o zamierzonym przez sztab japoński uderzeniu na Pearl Harbour.

Mijały lata, Ruth otworzyła salon kosmetyczny w Honolulu i nawiązywała coraz więcej znajomości wśród miejscowych oficerów, amerykańskich i ich rodzin. Jej szpiegowska działalność dawała coraz lepsze wyniki, przynosząc w zamian okazałe sumy dolarów, które lokowała w bankach południowo-amerykańskich i szwajcarskich.

Szczęście sprzyjało jej nieustannie. W lipcu 1940 r. Ruth na jednym z balów w Honolulu poznała młodego oficera marynarki wojennej USA, który wyjawiał jej w czasie rozmowy, że jest adiutantem admirała Kimmela, naczelnego dowódcy zespołu floty stacjonującej w Hawajach.

Konsul Okuda natychmiast sprostował jakieś kożyści dawała ta znajomość wywiadowi Mikada. Na jego polecenie Ruth nawiązała z młodym oficerem bliższe stosunki. Młody i najwyśmienocił zakochał się bez pamięci w pięknej dziewczynie, nieświadomy zupełnie zdrady jaką mimo woli popełniał ujawniając kochanej kobiecie pilnie strzeżone tajemnice sztabowe. Romans ten trwał przez kilka lat, aż do napaści Japończyków na Pearl Harbour.

W styczniu 1941 roku admirał Isoroku Yamamoto, naczelną dowódcą floty japońskiej polecił swojemu sztabowi opracowanie ramowego planu niespodziewanej napaści na flotę USA stacjonującą w Pearl Harbour. W związku z tym szef Kempei Tai na Hawajach otrzymał rozkaz uzyskania szczegółowych informacji o obiektach wojskowych znajdujących się w strefie Pearl Harbour oraz o ośrodkach znajdujących się w bazie.

Zadanie to mogła wykonać tylko rodzina Kuehnów.



# „KTO miastu oddał serce...“



Zadajemy takie pytanie: Kogo należy uważać za „Łodzianina“? Pytanie trochę fałszywe, bowiem rzucone do posła, który przecież reprezentuje swoich wyborców i swoje miasto. Ale pytanie zawiera również ziarenko prowokacji, któremu — jak spodziewaliśmy się, posel

chętnie ulega i natychmiast przystępuje do wygłoszenia krótkiej historii Łodzi. Wniosek końcowy tego wykładu jest ten, że istnieje tylko jeden wyznacznik pojęcia „Łodzianina“. Jest nim, jak się można domyślić, serce. „Kto z wewnętrznego przekonania osiedlił się w na-



szyn, mieście, pracuje tutaj i miastu temu oddał serce...“ Ale ten wyraz jest tak wyświechtany w potocznym użyciu, że zacytowanie go budzi uzasadniony niepokój. Przecież jednak nie można go całkowicie wykreślić, jeśli przystępuje się do charakterystyki, nawet bardzo pobieżnej sylwetki działacza, polityka i publicysty, jakkolwiek różnie z tym „sercem“ u różnych ludzi bywa i bywało.

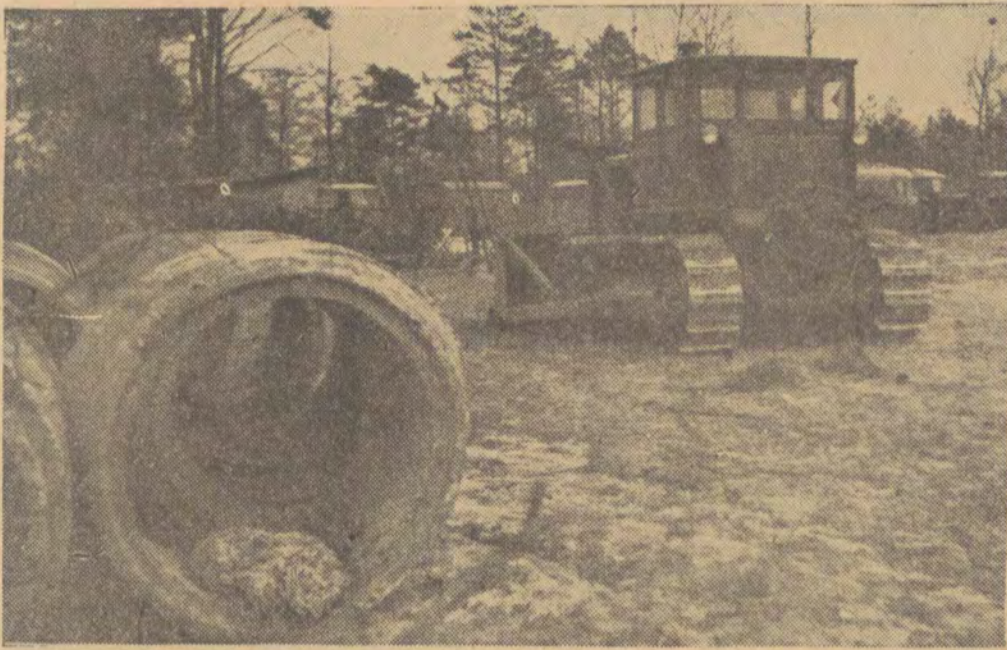
Przystąpmy ad rem. Eugeniusz Ajnenkiel za ma sobą 45 lat pracy w ruchu robotniczym. Wydał ponad dwadzieścia publikacji poruszających problematykę Łodzi i ruchu robotniczego. Współpracował z redakcją kwartalników i pism poświęconych powyższej tematyce „KRONIKA RUCHU REWOLUCYJNEGO W KRÓLESTWIE POLSKIM“, „NIE PODLEGŁOŚĆ“ czasopisma literackie i społeczne, redagował „ŁODZIANINA“ i „DZIENNIK ZARZĄDU MIEJSKIEGO“, który nie był suchym, urzędowym pismem, jakby na to wskazywała nazwa.

E. Ajnenkiel zajmuje się przede wszystkim tematyką ruchu robotniczego w Łodzi. Jest to tematyka jednocześnie i historyczna i aktualna. Aktualność zresztą leży nie raz gdzie indziej, niż to się potocznie mniema. Aktualne są nie tylko wydarzenia, miejsca, ludzie, ale aktualna jest przede wszystkim problematyka. Stąd nawet najstarsze publikacje, odnoszące się do innych okresów historycznych korespondują ze współczesnością. Mówią nie tylko o przemianach i przeobrażeniach, ale zmuszają do rewizji utartych sądów o ludziach i czasach. W tym sensie nawet najbardziej „sucha“ publicystyka ukazuje prawdę o życiu wcale nie gorzej niż niejedna powieść. Lecz te dywagacje przekraczają ramy niniejszego „portretu“. Mam nadzieję, że przyjdzie czas i na dokładniejszą analizę tych prac.

Trzeba w każdym razie powiedzieć, że nawet „hobby“ E. Ajnenkiela obracają się w kręgu tematyki robotniczej. E. Ajnenkiel zbiera od trzydziestu lat pieśni i poezję rewolucyjną polską. Jest on bodajże jedynym zbieraczem tych rzeczy w Polsce. Przyjeżdżał do niego w swoim czasie Tuwim, Sygietński, Krzyński. Wydaje się, że te prace należy koniecznie ukoronować umową w Wydawnictwie. Będzie to rewelacja! Ale skoro już mowa o sprawach wydawniczych: zapytaliśmy naszego rozmówcę, jako „osobę urzędową“, co myśli o konkursie na powieść o Łodzi. Tow. Ajnenkiel odpowiedział, że przywiązuje dużą wagę do tego konkursu. Dziękujemy.

Jeszcze jeden przypis. Wiadomo, że E. Ajnenkiel jest założycielem i współzałożycielem wielu instytucji związanych z Łodzią — wymienimy tu chociażby Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, czy ostatnio Towarzystwo Przyjaciół Łodzi. Jest posłem, spotykał się i spotyka z wieloma ludźmi, „na szczytach“ i nie na szczytach, ma w tym zakresie wiele przeżyć. Zna poza tym Ajnenkiel nieprzebrane mnóstwo anegdot ze starej Łodzi. Czy nie warto by pokusić się o napisanie antologii anegdoty łódzkiej?

TEKST. P. ZDJĘCIA: B



Plac budowy



W tych wiejskich domkach Trębaczewa pracuje sztab „Działoszyn w Budowie”

(Dalszy ciąg ze str. 1)

remontowaniu, pozostanie nadal zimnym ponurym, wilgotnym i nieprzytulnym gmachem. Dla zdrowia dzieci nie jest to, oczywiście, rzeczą obojętną.

Pozostawmy jednak sprawę pałacu na uboczu i zajmijmy się istotnymi sprawami Działoszyń.

Gromada, choć mała, jest raczej przedsiębiorcza. Inicjatywę przejawiała nie zawsze w kierunku społecznym, lecz w latach drugiej wojny światowej kryła w swych ruinach bujną działalność tzw. podziemia gospodarczego. Tu, podobnie jak w Radomiu, rozkwitał nielegalny garbunek skór, masowo sprzedawanych na Śląsku. Nie pomogły kary areszty i podatki, ani próby zorganizowania legalnej spółdzielni garbarskiej. Dopiero wzrost produkcji kluczowego przemysłu skórzanego, unieruchomił w poważnym stopniu indywidualną inicjatywę działoszyńskich garbarzy. Dziś otwierają się przed nimi inne, nowe i wielkie perspektywy.

\* \* \*

Przez kilkanaście dni grupa geologów penetrowała teren wszczep i wzdłuż, aż wreszcie obladowana próbkami szarego kruszcu wyjechała do Instytutu Naukowo-Badawczego Przemysłu Materiałów Budowlanych. W wyniku analizy tych próbek okazało się, że ziemia działoszyńska obfituje w bogate złoża cementowego surowca, wystarczające na trzydzieści lat intensywnej eksploatacji. Następstwem tego była decyzja Rady Ministrów. W Działoszyń powstanie dwukrotnie większa od Wierzbicy cementownia oraz trzy — związane z bazą surowcową — zakłady — cementu białego, kredy dmuchanej i eternitu. O rozmiarach tej inwestycji świadczy suma nakładów sięgająca 1.129 mln zł. Świadczy też ranga nadana Działoszyńowi przez najwyższą władzę ustawodawczą — Sejm PRL. W dniu 21 grudnia 1959 r. zatwierdzono na sesji sejmowej Narodowy Plan Gospodarczy na rok 1960, a w specjalnie podjętej uchwale podkreśla się, że inwestycję działoszyńską należy traktować jako szczególnie ważną i baczyć, aby nie zaszyły opóźnienia w jej realizacji.

Cementownia, która zaopatrywać ma północne okręgi Polski w materiał budowlany (900 tys. ton cementu rocznie) powinna być uruchomiona w czwartym kwartale 1963 r. a trzy następne zakłady w 1965 r.

Zgodnie z harmonogramem finansowania obiektu, należy w bieżącym roku „przerobić” 120 milionów złotych, a więc przygotować teren budowy w ten sposób, by praca w następnych latach przebiegała harmonijnie, bez zakłóceń i „zrywów”. W

związku z tym, Rada Ministrów wydzieliła jeszcze w lipcu ub. r. 8 milionów złotych na tzw. pierwsze wydatki. Upiękniono 10 miesięcy od podjęcia decyzji. Jak więc zaawansowane są prace w Działoszyń?

\* \* \*

Długa ulica, kryta gładką asfaltową szosą. Po obu stronach — mury wiejskie domki. To siostrzyca Działoszyń — gromada Trębaczew. Jest tu stacja kolejowa, a w odległości za ledwie 2,5 km — przyszłe Zagłębie Cementowe.

Właśnie w Trębaczewie, rozlokowała się tzw. jedno-

miesięcy br? Wszak sezon budowlany trwa gdzie indziej w całej pełni!

Biuro dyrekcji — owszem, owszem. W domku wiejskim, w pokoju, gdzie urzędować będzie dyr. Zydek, ośniewają przybysza sprowadzone już drogocenne meble. Rzecz jasna — orzech ma najwyższy połysk. Natomiast na placu budowy — efektywnego ruchu ani widu, ani słyhu. Zaledwie kilku robotników Łódzkiego Przedsiębiorstwa Robót Inżynierskich kręci się przy zakładaniu sieci wodociągowej. Lecz cóż to w porównaniu z rozmachem, jak powinien tu już panować? A przecież

sobie „tytu” są aż nazbyt rażące.

Inna rzecz, że przyczyny zastój nie wynikają wyłącznie z winy tych ludzi.

\* \* \*

Od szeregu miesięcy toczy się spór między Wydziałem Architektury i Nadzoru Budowlanego a Dyrekcją „Działoszyn w Budowie”. W spór włączone są wysokie osobistości włącznie z ministrem Budownictwa i Materiałów Budowlanych. Jednocześnie na tzw. „dole” toczy się wojna między ludnością dwóch gromad — Trębaczew i Działoszyń.

Chodzi o rzecz, zdawałoby

też Wydziału Architektury, Prezydium Woj. RN uchyliło pierwotną decyzję i postanowiło wybudować osiedle w centrum Działoszyń na o 4,5 km dalej.

A to już zmienia postać rzeczy. Inwestor, jak również cementownia musieliby przewozić robotników autobusami. A to kosztuje. Kupno eksploatacja transportu, utrzymanie kierowców (praca na trzy zmiany) paliwo, garaż. Jak obliczyli fachowcy kosztowałoby to zakład około 1 mln zł rocznie. Na domiar złego tak zapropono-

wał, że u jednej z nich powstanie osiedle robotnicze.

Linia tego oryginalnego frontu bitwy wygląda więc następująco:

Za pierwszą koncepcją stoi Zjednoczenie Przemysłu Cementowego i Ministerstwo. Za drugą — Wydział Architektury i Prezydium Woj. RN. Obie strony twardo bronią swych stanowisk. Kto więc rozstrzygnie spór o cementowe małżeństwo? Wydaje się, że sprawa będzie musiała się oprzeć o Prezydium Rządu.

A tymczasem... Tymczasem dyrekcja „Działoszyn w Budowie” wydała już ponad pół miliona złotych na potrzeby związane z realizacją pierwszej koncepcji.

W konsekwencji tego sporu, dwie moje towarzyszkę z banku postanowiły wprowadzić aktualne uzupełnienie do wydanej ostatnio „Księgi przysłów polskich”, a mianowicie: „Gdzie dwóch się bije — tam trzeci traci”.

\* \* \*

Winien jestem Czytelnikom wyjaśnienie plonu „wizyty młodych pań” w Działoszyń. Jak wykazała kontrola bankowa, inwestor na skutek opóźnienia robót nie będzie mógł „przerobić” zaplanowanej na bieżący rok sumy. Zamiast 120 mln, Bank Inwestycyjny udzielił mu tylko 71 mln kredytu, z tego komisja rozdziału robót przyjęła tylko 27 mln zł na zagospodarowanie terenu. Efektem tego będzie spóźnienie robót w następnych latach. Obawiam się, że przysłowie „co nagle to po diable” znajdzie w danym wypadku pełne potwierdzenie. Obym był fałszywym prorokiem.

## Gdzie dwóch się bije

stka nadzorująca, czyli dyrekcja „Działoszyn w Budowie”. Trzy domki po obu stronach szosy — budynek „sztabu” i biura dokumentacji technicznej poznać można po wystawionych w oknach doniczkach, które pełnią funkcję sygnalu orientacyjnego dla przyjeżdżających w delegację służbową. Trzeci dom daje o sobie znać raczej zapachem apetycznych potraw. Stółowa i świetlica „sztabowa”. Większość pracujących tu ludzi — to personel inżyniersko-techniczny sprowadzony z Lublina, gdzie zaangażowany był przy budowie potężnej cementowni w Chełmie. Sam zaś dyrektor — p. Antoni Zydek jest w przemysle tym swego rodzaju potentatem, albowiem dziełem jego zmysłu organi-

zacji przewidywane zatrudnienie fachowców i niewykwalifikowanych oblicza się na tysiąc ludzi.

Tymczasem jest cicho i pusto. Plac budowy nie ogrodzony. O niwelowaniu terenu, o kopaniu fundamentów nikt jeszcze nie myśli. Zresztą do tej pory inwestor nie zawarł jeszcze umowy z głównym wykonawcą — Łódzkim Przedsiębiorstwem Budownictwa Przemysłowego. Wszystko jest więc w „proszku”. Nie ma nawet gotowej dokumentacji projektowej, przynajmniej w etapie wstępnym, która pozwoliłaby na przystąpienie do organizacji placu budowy. A bez zatwierdzonej dokumentacji Bank Inwestycyjny nie wyda ani grosza.

Jednocześnie już w br.

się, drugoplanową, lecz w związku z obecnymi wymogami planistyczno-urbanistycznymi nabiera ona pierwszorzędne znaczenia.

Oto dyr. Zydek mający za sobą wieloletnie doświadczenie praktyczne, wychodzi z założenia, że zanim rozpocznie się budowę obiektu przemysłowego, trzeba najpierw przygotować osiedle robotnicze. Mogłoby tu zamieszkać robotnicy przedsiębiorstw wykonawczych, a gdy uporają się z budową cementowni, wyremontuje się osiedle, odświeży pokoje, w których zamieszka część załogi nowego zakładu. W ten sposób oszczędza się wiele milionów złotych. Po co budować prowizoryczne hotele robotnicze, niszczyć je i znowu budować osiedle?

wane osiedle leżałoby wprawdzie blisko rzeki, ale na piaszczystej wydmy, gdzie nawet pietruszka nie rośnie.

Byłoby jednak niesprawiedliwym bronić jednostronnie interesów cementowni. Rację ma również władza wojewódzka. Działoszyn znajduje się w centralnym punkcie i z tego powodu obsługujące okolice i przylegające doń wioski. Tu odbywają się jarmarki, tu znajdują się kino, biblioteka, przychodnia specjalistyczna, gospoda, sklepy GS 1 70 warsztatów rzemieślniczych podzielonych na 16 branż.

Czy celowe jest więc budowanie osiedla na pustkowiu i stwarzanie dlań oddzielnej i wielorakiej sieci

## tam trzeci... traci

zacyjnego są dwie cementownie — Rejowiec i Chełmno. Do Działoszyń dojeżdża sporadycznie, dogląda jeszcze ostatniej „kosmetyki” na lubelskim obiekcie. Na miejscu zaś całym ruchem kieruje naczelny inżynier p. Marian Brygiel.

Słowo „kieruje” wydaje się jednak przesadzone. W rzeczywistości nie ma tu „jeszcze kim i czym kierować”. Z przyznanych w ub. roku 8 mln zł nie wykorzystano ani grosza, gdyż Zjednoczenie Przemysłu Cementowego powołało dyrekcję budowy dopiero w... styczniu br. Zauważmy więc ten drobny szczegół, jako minus na koncie Zjednoczenia, — 6 bezproduktywnie straconych miesięcy.

A co zrobiono w okresie 4

zaczyna napływać pierwsze urządzenia produkcyjne dla cementowni wartości ponad 40 mln złotych. Moje dwie towarzyszkę z banku obliczyły w pamięci wieloletnie miesięczne odsetki zamrożone z tego powodu na martwym placu. A w międzyczasie „sztab” zdążył już sprowadzić (uwaga uwaga!) miękkie fotele do świetlicy personelu inżyniersko-technicznego.

Nie jestem za surowością życia opisanego przez Ażajewą w „Daleko od Moskwy”. Nie jestem też za tym, aby inteligencja techniczna odesłana na 4—5 lat od domów rodzinnych mieszkała w złych, prymitywnych warunkach. Ale bogiem a prawdą — dysproporcje między bezczynnością na placu budowy a inwencją w urzędowaniu

Zgodnie z tą koncepcją, dyrektor Zydek zwrócił się do Wydziału Architektury o ustalenie lokalizacji osiedla w pobliżu powstającego zakładu. Na posiedzeniu w dniu 29. VI. 1959 r. Prezydium Woj. RN w Łodzi postanowiło przeznaczyć pod budowę osiedla teren w Trębaczewie, oddalony o 2,5 km od cementowni, miejscowość ładnie położona na łagodnym wzgórzu otoczona lasami, nad brzegiem Warty i z dobrą ziemią pod ogródki działkowe dla pracowników. Dyrekcja przyjęła lokalizację z zadowoleniem. Zaplanowała nawet wybudowanie tu w przyszłości przystani sportowo-wodnej.

Tymczasem po czterech miesiącach, na propozycję

usług? A to należy przecież do Rady Narodowej, to wymaga dodatkowych środków finansowych, nadwreżać budżet. Za zmianą lokalizacji przemawia również inny fakt: w Działoszyń mieszka 2.800 mieszkańców. Gdyby więc liczbę tę powiększyć do 5 tysięcy — otwierałyby się przed gromadą nowe perspektywy, a więc możliwość szerokiej aktywizacji gospodarczej w przeciwieństwie do obecnego zastoj.

O tę aktywizację walczy również ludność Trębaczewa. Jednakże gromada ta leży na uboczu i związana jest raczej z Pajęcznem. Mimo to obie strony ślą delegacje za delegacjami do Łodzi w na-

Tekst:  
JAN  
ADAMOWSKI

Zdjęcia:  
H. KOZAKOW

odgłosy str.  
5

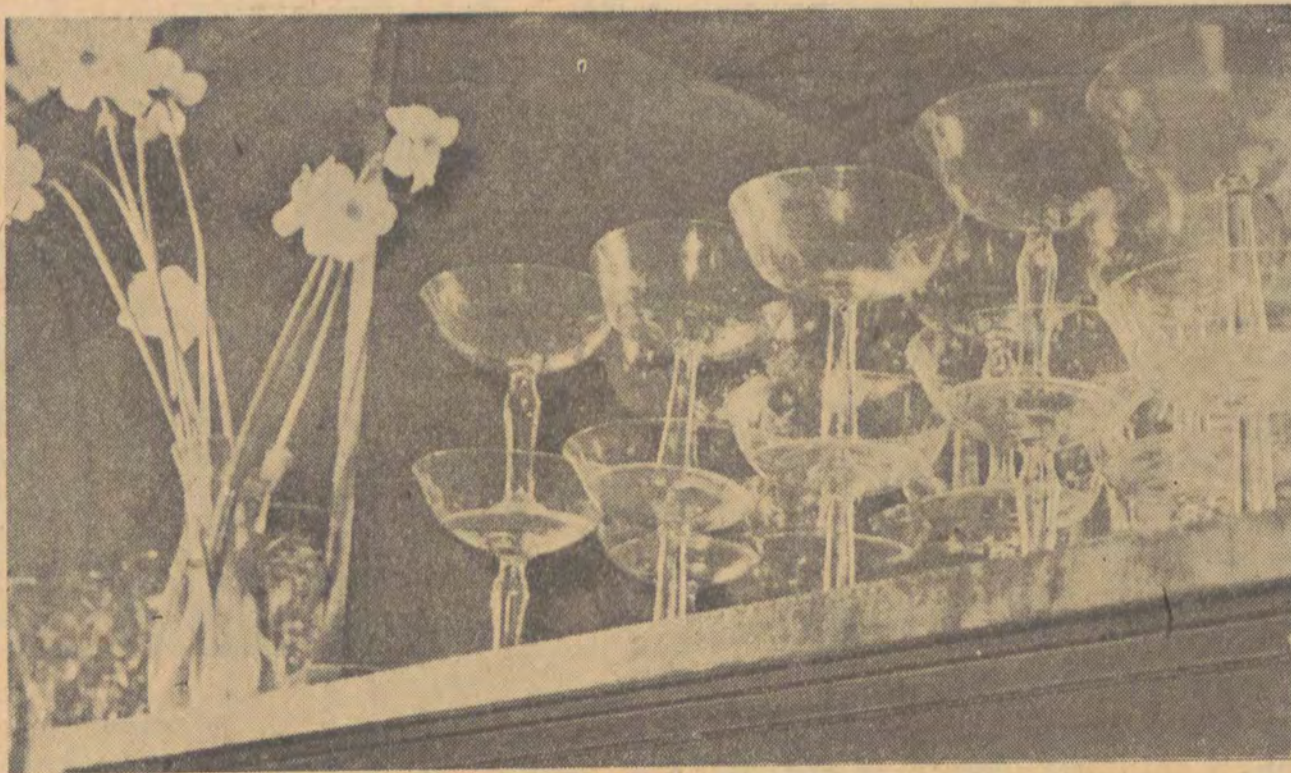
Oto bal karnawałowy — orkiestra dławi się jazem, by za chwilę w szaleńczym forte urwać frazę i ustąpić miejsca wodzirejowi. Tenże obwieszcza z zachwytem: „wybieramy królową balu”. Więc rzędem ustawiają się trusie, których kreacje i uroda błędna wobec tej najpiękniejszej. Ona na podium. I znowu forte...

Wiwatująca publiczność nie chce wypuścić artystki z estrady. Jej głos, jej strój... Brawa i bis. Brawa i znowu bis. Aplauz i bis...

Ach, jak on pięknie wygląda w tym smokingu — wdycha mamusia i ociera lzy chusteczką. A upawiony pan młody podaje ramię żoneczce i maszeruje po czerwonym kobiercu pod „Veni creator”. Ach jak on maszeruje...

Jutro wszyscy — królowa balu, szalowa cantatrice i elegancki pan młody — spotkają się pod szyldem „Smokingi dla panów, dla pań supereleganckie suknie ślubne, balowe... itd.”. Oddadzą swoje wczorajsze szaty, wypożyczone za 200 czy 500 złotych na dobę i nikt ich już więcej nie zauważy w szarym tłumie.

Bo wiesz dobrze, Kopciuszk, że z królewiczem to ci się śniło...



ANDRZEJ  
BORKOWSKI

## Przedmioty i ludzie (2)

# O Kopciuszk i elektroluksie opowieść współczesna

Przyszli zażenowani oboje. Ona wypożyczyła suknię ślubną, on — smoking, i powędrowali w przyszłość. Po jakimś czasie ona zaszła sama i wybrała sukienkę balową. Ostatnio znowu byli oboje — potrzebowali kapkę do chrztu. Za każdym razem zostawiali w wypożyczalni trochę pieniędzy i kartki z historią swojego życia. Nie mówili kim są i co robią. To nie było wcale potrzebne — suknią ślubną, kreacją balową i kapką zanotowali ich historie same. Na zasadzie sejsmografu.

Rzecz powtórzyła się w wypożyczalni sprzętu gospodarstwa domowego. Najpierw wybierali zastawę stołową na wesele — skromnie, dla piętnastu osób — i klócili się przy tym, jak tylko świeżo upieczeni małżonkowie potrafili. Potem ona zaglądała co jakiś czas po elektroluks, ostatnio na regularnie zamawia pralkę i ciągle przedłuża termin zwrotu wagi niemowlęcej. W międzyczasie był też adapter z płytami.

Czy klienci obu wypożyczalni to ta sama para? Musiałby to być nadzwyczajny zbieg okoliczności. Ale obraz identyczny. Tylko „sejsmograf” innego rodzaju, choć pozornie równie jak tamten — anonimowy.

Jak resztki skorup odgrzebane z ziemi przez archeologa, piszą historię wymarłych społeczeństw, tak biura rzeczy znalezionych, wypożyczalnie sułden i garnków, czy inne tego rodzaju rekwiz-

ytownie, stanowią barwną ilustrację do kroniki współczesności.

„Wypożyczalnictwo” jest starą jak świat formą usługi, właściwą każdemu systemowi społecznemu. Ze zmiennym szczęściem próbuje uprawiać tę formę i nasz handel czy spółdzielczość. Anemiczne jest to uprawianie pozbawione rozmachu reklamy, niemniej, jeśli ktoś bardzo chce, może dzięki niemu rozwiązać wiele swoich kłopotów życiowych.

Bo oto w Łodzi 16 „em-hadawskich” sklepów gospodarstwa domowego wypożycza sprzęt do malowania mieszkań, w 4 wypożyczalniach PSS znaleźć można kompletną zastawę stołową, czajniki, wiadra, kołki do bielizny, pralki, elektroluksy, wędki, piłki, walizki, wózki dziecięce, wagi niemowlęce, adaptory z komplectami płyt i wiele jeszcze innych przedmiotów. Co prawda wypożyczalnie pe-esesowskie zastrzeżone były dotąd wyłącznie dla członków spółdzielni, ale od 1 kwietnia bieżącego roku dostęp do nich uzyskał każdy zwykły śmiertelnik.

„Wypożyczalnictwem” zaj-

muje się także Spółdzielnia Pracy „Czystość”. Prowadzi ona na terenie miasta cztery tego rodzaju punkty, gdzie znaleźć można wszystkie potrzebne w gospodarstwie sprzęty.

Przed świętami państwowymi, czy w okresie jubileuszów, magazyny wypożyczalni pustoszeją dzięki masowemu „jublom” w instytucjach (przeciętna taka zastawa — około 200 nakryć), przed Wielkanocą, Bożym Narodzeniem czy popularniejszymi świętami, niemniejże spustoszenia czynią wypożyczenia prywatne (mienieminy — komplet na 15 osób, wesele — od 30 w górę, mała studencka „bibka” — nie więcej jak 6-8 nakryć).

Coraz więcej zwolenników zyskują pralki i elektroluksy — więc przedmioty, które jeszcze przed kilku laty dla przeciętnej gospodyni stanowiły sprzęt wręcz egzotyczny.

\* \* \*

Roku pańskiego 1956, w nurcie koniunktury dla wszelkiego rodzaju inicjatyw, pewna pani wylansowała nową formę „wypożyczalnictwa”. Wzięła się mianowicie za suknie ślubne, balowe, kapki do chrztu i temu podobne rzeczy. Sama jedna nie mogła sprostać widocznemu szerokiemu „zamówieniu społecznemu”, bo w krótkim czasie powstały cztery dalsze podobnego charakteru wypożyczalnie. Pono egzystuje także kilka innych, pokątnych, o których

nie wiadomo władzom skarbowym.

Ktoś, kto by sądził, że wspomniane „suknie ślubne” mają cokolwiek wspólnego z omówionymi wyżej wypożyczalniami sprzętów gospodarczych, popełniłby dużą omyłkę.

Zasadniczą różnicę stanowi fakt że w jednym wypadku mamy do czynienia z przedmiotami, codziennego użytku, w drugim — z przedmiotami zbytku.

Różnice te może nie zaznaczają się tak dobitnie w społeczeństwach zmerkantylizowanych, zgłajszachtowanych pogonią za zyskiem, gdzie wszystko sprowadza się koniec końców do prostej transakcji „kupno — sprzedaż”, są jednak tym charakterystyczniejsze dla naszego społeczeństwa, holdującego tradycyjnym zwyczajom i uprzedzonom.

Każda z właścielek wypożyczalni sukien w którą wdawałem się w rozmowę, czuła się w obowiązku zaznaczyć na wstępie: „wszystkie nasze kreacje są uszyte z materiałów zagranicznych, jakich w naszych sklepach się nie dostanie”.

Oglądałem rzeczywiście kolekcję niezwykle okazałą. Widziałem suknie, na które zużyto 40 metrów nylonowego tiulu czy koronki, balowe tafty i brokaty, konstrukcje z drutu i fiszbinów. Nie były nawet „brzydkie” jeśli rozumieć rzecz dosłownie. Były jedynie żałośnie odarte z piętna indywidual-

ności, osobowości. I choć różnił je gatunek materiału, fason i przeznaczenie, jedna drobniomieszkańskie tęsknoty, taniutki raj „nowobogackich”. Ach, ustroić się w tajemnicę przed koleżankami w coś takiego, choć na jedną upojną noc, żeby im pokazać, zaimponować. Czy to ważne, że za cenę pozoru?

Solidne mamusie nie uznają takiego systemu. „Weźmiesz ślub w pożyczonej sukni, a co potem zostanie na pamiątkę, co włożysz z bukieciem ślubnym do pudła?” — taka bywa argumentacja mamusi. Ale córeczka jest sprytniejsza, córeczka pójdzie do ślubu w sukni nie gorszej niż mama przed laty, a zaoszczędzony grosz przeznaczy na pralkę elektryczną.

Oto metamorfoza pokoleń.

Nikt nie splonie rumieńcem, gdy przypadkowy znajomy „nakryje” go w momencie wynoszenia elektroluksa z wypożyczalni sprzętów domowych. Ale spróbowalibyście na przykład na balu karnawałowym oświadczyć publiczności, która przed chwilą okrzyknęła królową balu: „Proszę państwa, suknią tej oto damy pochodzą z wypożyczalni przy ulicy... itd”. Wyobraźcie sobie co za konsternacja. A szczęśliwa wybranka do stałaby z pewnością „palpitacji serca”.

„Panuje przesąd, że pożyczona suknią to ujmą na honorze” — powiedziała mi jedna z właścielek wypożyczalni i na poparcie swoich słów przytoczyła pewien obrazek. Oto dwie studentki wybierają kreacje na „absolwentówkę”. W tym momencie wchodzi ich kolega z roku w towarzystwie narzeczonej którą zamierzał w podobny sposób przyodziać. Konsternacja obustronna, wymyślone na prędce tłumaczenia, że krawcowa nawaliła, czy „coś z tych rzeczy”. Właścicielka nie mogła zrozumieć, skąd się bierze ten wstyd, jednak równocześnie nie zdradziła mi nazwiska artystki dla której w czasie mojej wizyty szykowała suknię na występ. Nawet, gdybym

znał to nazwisko, nie odważyłbym się go przytoczyć. Bo kłapa murowana.

Atmosfera konspiracji i wstydu jest nieodłącznym towarzyszem każdej instytucji pozoru. Tak i w tym wypadku.

Na tle innego gatunku „prywatnej inicjatywy” wypożyczalni sukien wypadają zdumiewająco korzystnie. Tu nie ma żadnego „kantu”, nie ma łatwych zysków, jest natomiast konieczność stałego inwestowania w przedsiębiorstwo, ciężka, niemal wyrobnicza praca nad przygotowaniem każdej kreacji do powtórzonego użytku. Jak dotychczas, tylko jedna placówka spółdzielcza spróbowała szczęścia w tej branży — szybko skończyło się bankructwem.

Może to komuś wydać się naiwne, ale zwiędzając wypożyczalnie nabrałem dużo sentymentu i szczyptę podziwu dla ich właścielek. Bądź co bądź, jest to swego rodzaju służba społeczna, wymagająca ofiarności i serca. Niezależnie od tego, jakiej klienteli i jakim celem służą wypożyczalnie, spełniają one określoną rolę i niejednemu przynoszą pomoc w trudnej sytuacji.

Są przy tym niepozobawionym uroku curiosum obyczajowym, którego dni egzystencji w szybko „nowocześniejącym” społeczeństwie, są wyraźnie policzone.

Wszyscy właściele wypożyczalni narzekają na potężniejący kryzys w tej branży. Tegoroczny karnawał był zgoła niepomysłny. Na dowód, że nie są to narzekania z serii „podatkowych” niech służy fakt, że również spółdzielcze wypożyczalnie sprzętów gospodarczych zanotowały w karnawale bardzo zmniejszone zapotrzebowanie na zastawę stołową. Ludzie bawili się tego roku z ołówkiem w ręku.

Inne przyczyny kryzysu, który dotyka wypożyczalnie, to coraz bardziej powszechna moda na oszczędność i prostotę stroju, większy wybór ładnych tkanin na rynku, czy pomysłowe i niezbyt drogie kreacje Telimeny.

Za rok, dwa, w prasie przestaną pojawiać się ogłoszenia: „smokingi dla panów, dla pań supereleganckie...”, oędździe w zapomnienie jeszcze jedna żywa kronika obyczaju, w którą warto się „wczytać”.



Zdjęcia: Leon Olejniczak

# POCZĄTEK KOŃCA

Potrzebaliśmy pieniędzy, stąd to wszystko. W krótkich odstępach czasu obrabowaliśmy siedem czy osiem miejsc. Sklepy alkoholowe. Sklepy samoobsługowe. Stacje benzynowe. Rozwiązaliśmy w ten sposób zupełnie niezłe nasze problemy finansowe, do czasu kiedy pewnego dnia wóz policyjny zaskoczył nas flagranie delicto. Prawie natychmiast rozpoczęła się strzelanina. Tuffy, nie mający zamiaru wycofać się, dopóki nie uzyska pieniędzy, nie powracał do samochodu przez dobre piętnaście sekund, choć ostrzegłem go, naciskając klakson. Te piętnaście sekund dały glinom znakomitą sposobność do zajęcia pozycji strzeleckiej. Mimo to udało nam się ruszyć. Gliny ścigały nas bez wytchnienia. Zbiłkana kula trzasnęła w samochód.

— Myślę, że mogę ich straszyć — powiedziałem. — Jeśli to się nie uda, wybicie tylne okno i posłemy tych bekartów do ziemi.

Ford miał przeczenie za przeczeniem. Prawie wymknęliśmy się naszym prześladowcom, kiedy strzeliła jedna z przednich opon. Ford uderzył w krawężnik, usłyszałem trzask, kierownica zadrżała i wyskoczyła mi z rąk.

To, co zdarzyło się potem, przypominało zły sen. Podejrzuwając najgorsze skreślenia kierownicy, Ford nie drgnął. Potem wyprostował się nagle i, ponieważ moja stopa wciąż naciskała akcelerator, gwałtownie ruszył do przodu. Pomknęliśmy, podskakując i chwytając się, zawiadując o zaparkowane samochody.

Ileokroć obracałem kierownicą w jednym kierunku, Ford jechał w zupełnie przeciwnym.

Wreszcie przy jednej z przecznicy stała się rzecz niedarygodna. Ford wykonał jak najbardziej prawidłowy zwrot w prawo. Nie myślicie, że z dobroci swego czarnego, mściwego serca. Naprawdę, nie. Bo zaraz po skręceniu z diaboliczną dokładnością i ze złośliwą premedytacją wycelował w pojęte drzewo palmowe. Z szybkością przynajmniej 50 km trzasnęliśmy w palme. Wszyscy, trzech zostaliśmy natychmiast wyrzuceni z samochodu. Nigdy się nie dowiem jakimi drogami wydostali się na zewnątrz Tuffy i Mały Andy. Unikając zderzenia z przednią szybą, uderzyłem w kierownicę i wyleciałem przez otwarte boczne okno, ładując na trawniku przed domami.

Usłyszałem strzały. Tuffy szarpnął mnie za ramię i postawił na nogi. Pobiegliśmy, zataczając się, między domami. Pamiętam, zobaczyłem plot. Drżał i wirował przed moimi oczyma, czułem, że za chwilę upadnę. — Uciekajcie, chłopcy — wyjąkałem. — Ja nie dam rady. Ale i Tuffy i Mały Andy chcieli zostać ze mną.

— Uciekajcie, do diabła! — krzyknąłem. — Wykończą nas tu wszystkich. Wyszarpnął pistolet odwróciłem się i potykając, ruszyłem w kierunku, w którym, jak sądziłem, znajdowali się policjanci. Kuśtykałem, z trudem utrzymując się na nogach. Usłyszałem strzał; potem następny (jeden z policjantów, jak dowiedziałem się później, wystrzelił — zupełnie jak w opowieściach z Dzikiego Zachodu — pistolet z ręki Małego Andy). Ostrzeliwałem się w kierunku błysków, —

Przyjdzie tu, wy, bekarty! — wrzeszczałem ochryple. — Zabawimy się!

Zrobiłem jeszcze kilka kroków i nagle pociemniało mi przed oczyma. Oparłem się o ścianę domu. Wszedłem w wirówkę szaleńczo. Czułem że osuwam się na ziemię. Ujrzałem policjanta, posuwał się ostrożnie, z pistoletem w dłoni. Przeszedł kilka kroków ode mnie, a ja nie mogłem nawet podnieść ręki, w której trzymałem broń. Moje ciało odmówiło posłuszeństwa. Nawet nienawistnie

Ala pomoc na nic by się już im nie przydała. Udało im się wywiać, ale zrobili błąd, i to błąd fatalny. Jedną dłoń Małego Andy — ta, którą dosięgła kula — była bezużyteczna. Tuffy podnosił właśnie zapalnik, chcąc zapalić Andemu papierosa, gdy wóz patrolowy zatrzymał się obok nich. Policjant wyskoczył z samochodu, każąc podnieść im ręce do góry. Tuffy postanowił nie poddać się. Sięgnął po broń. Wtedy jeden z policjantów z dwóch

jęciłmi, to wyjaśnia wszystko. Ale potem przypomniałem sobie, w jakiej sytuacji się znajduję. Mogłem tylko szydzić z siebie samego; byłem tu, przyrzekając, że wydam ich, a nie mogłem przeleźć przez głupi plot.

Byłem po niewłaściwej stronie plotu! „Jesteś po niewłaściwej stronie plotu”. Jak wiele razy słyszałem te słowa. I oto rzeczywiście byłem po niewłaściwej stronie plotu, półprzytomny po przebytym wstrząsie.



Tragiczna historia Caryla Chessmana dobiegła końca. Stracony został dość pospolity — przynajmniej — gangster by mógł narodzić się jeszcze jeden bohater naszych czasów, jeszcze jeden mit na użytek tzw. opinii publicznej. Sam Chessman nie miał zresztą złudzeń co do swojej roli, zdawał sobie sprawę, że jest gangsterem i że nigdy nie będzie mu danym zostać kimś innym, czymś więcej. Pragnął co prawda kariery pisarskiej, wspomina z satysfakcją

że jedna z jego przyjaciółek porównywała go z Villonem. Ale ani wykaz chessmanowski zbrodni — niezbyt ostatecznie wymyślnych — ani jego piarstwo nie upoważniają do czynienia takiego porównania. Chessman był Villonem w szych psychopatycznych marzeniach, tak jak w marzeniach był mordercą Hitlera, (w latach wojny w więzieniu w San Quentin, układał plany ucieczki do Niemiec, zaprzyjaźnienia się z Führerem i zamordowania go). W gruncie rzeczy zdawał sobie jednak sprawę, że czeka go tylko jedna droga kariery i że ta droga musi skończyć się w komorze gazowej.

„Cela 2455”, pierwsza książka Chessmana napisana w San Quentin, a opublikowana w 1954 r. nie jest próbą obrony. Jest spowiedzią gangstera, wyznaniem rzuconym porządnym ludziom i ich porządnym zasadom moralnym. Chessman nie usprawiedliwia się i nie tłumaczy. Nie popełnił — jak twierdzi — zbrodni, za którą został skazany na śmierć, ale z niejaką dumą przyznaje się do szeregu przestępstw, za które raz po raz wędrował za kraty. Ta książka, to precyzyjny i wyczerpujący opis rabunków, zbrojnych starć z policją, życia w więzieniach i mafijnych porachunków. To — powtarzam — książka wyzywająca. Byłem bandytą, mówi Chessman. Rabowałem i zabijałem, ponieważ musiałem się bronić, ponieważ życie jest dżunglą. Rabowałem i zabijałem, a wam nie do tego. Kiedy ws-

działcie mnie do więzienia, mówiąc: pozostaniesz tam 16 lat albo 28 lat, uciekałem albo starałem się o ułaskawienie, by w pierwszym dniu cudownie odzyskanej wolności znów wystąpić przeciw waszym prawom. Nie czuję skruchy. Tym razem jednak skazałście mnie na podstawie poszlak, to nie ja byłem bandytą w Fordzie z czerwonymi światłami, jestem niewinny, będę walczył o swoje życie. Tak mówi Chessman. I zaraz dodaje: „In fact, I wasn't really giving a damn”. Co się tłumaczy: „W gruncie rzeczy nic to mnie nie obchodzi, mam gdzieś swoje życie i was też mam gdzieś”. Ponieważ jestem psychopatą, outsiderem, człowiekiem, który wzgardził dziesięcioma przykazaniami.

25 czerwca 1948 roku Caryl Chessman został skazany na karę śmierci. Był ciepły i słoneczny dzień, przez otwarte okno sali sądowej widział — jak pisze — skrawek błękitnego nieba i dalej, na północy, góry otulone mgłą. Po dwunastu latach wyrok został wykonany, dzień był majowy, ciepły i słoneczny, nie oglądał tego dnia.

Czy był winien? Zlekceważył zasady — najprostrze zasady — współżycia z ludźmi, a więc był winien. Ale był psychopatą — sam się chętnie do tego przyznaje — a więc nie był winien. Obrzył poczucie moralne ludzkiego stanu Kalifornii, który wytoczył mu sprawę — a jak przypuszczam, niejednego tylko stanu i niejednego kraju — a więc był winien. Kochał żonę i matkę — a była to miłość, jak wynika z „Celi 2455” — szczerą i gorącą — a więc nie był winien. Nie przyznał się do winy, nie przyznał się nawet przed samym sobą, był obcy, był obojętny. Był czy nie był winien? Caryl Chessman, jeden z bohaterów współczesnej literatury. Caryl Chessman, okrutnie stracony w komorze gazowej.

Na razie mamy rok 1941. Chessman, dopiero co opuścił więzienie. Niebawem znów znajdzie się tam, ucieknie, trafi jeszcze raz za kraty, by, ułaskawiony, już po raz ostatni znaleźć się na wolności. Na razie mamy rok 1941. Chessman znów rozpoczyna zabawę — jak sam to określał — w policjantów i złodziei.

J. M. R.

nie mogła zmusić go do wysiłku. Policjant powinien mnie zauważyć. Ale nie zauważył.

— Uciekli! — usłyszałem głos. Policjanci biegli z powrotem do wozu patrolowego, odjeżdżali. Uśmiechnąłem się. Wciąż klęcząc powiedziałem do siebie: Mógł się, Chessman! — i opadłem ciężko na ziemię. Byłem na półprzytomny.

Pod językiem czułem wilgotną trawę, rosnącą w szczelinach między płytami cementu. Upiękną może mi nuta. Zdołałem wreszcie podnieść się na nogi. Wysoki plot odgradzał dziedziniec, w którym się znajdowałem, od następnych posesji. Wziąłem rozbieg i skoczyłem głową naprzód. Prawo ciężkości umieściło mnie po drugiej stronie plotu. Przejrzałem ulicę. Nie zachowując ostrożności, minąłem kilka bloków i przez otwartą bramę wszedłem na dziedziniec szkolny. Szukałem studni albo kranu z wodą do picia. Jest! Pijąc, zaów usłyszałem wystrzały. Pobiegłem tam, skąd, jak myślałem dochodziły. Po drodze zderzyłem się z wysokim drucianym plotem, otaczającym szkołę. Próbowałem sforsować plot, bezskutecznie. Plakałem z wyczerpania, wiedziałem, że nie mam czasu by wrócić do bramy. Tuffy i Mały Andy potrzebowali mojej pomocy właśnie teraz, właśnie w tej chwili. Byłem tego pewien.

kroków wylądował w niego cały magazynek swojego pistoletu. Tuffy upadł wciąż jeszcze usiłując wydobyc pistolet. Zdołał to uczynić, ale policjant nadepnął mu na rękę i kopnął pistolet. Tuffy raz jeszcze próbował wstać i walczyć. Walczył gołymi dłońmi przeciw pistoletom! Podniósł się na kolana, upadł, założono mu kajdanki. Mały Andy, który próbował pomóc Tuffemu, został także zakuty i wepchnięty na tylne siedzenie wozu policyjnego.

Czekając na ambulans, Tuffy leżał na chodniku, otoczony przez szybko zbliżających się tłum ciekawych. Sądzone, że umiera. Policjant zapytał go, czy jest coś co mogłoby dla niego zrobić. — Ehe — wykrztusił Tuffy — łyk wody i papierosa.

— Nie dawajcie nie temu wstrętnemu szczerowi — krzyknęła kobieta w tłumie. Tuffy zachichotał. Policjant podał mu papierosa i zapalił go. Tuffy podziękował. Potem policjant powiedział, że sądzi, iż woda może tylko zaszkodzić człowiekowi z podziurawionym brzuchem.

A ja stałem pod plotem, otaczającym szkołę, płacząc, bijąc pięściami w druty, przeklinając. Szósty zmysł mówił mi, co się stało. Obiecywałem sobie, że jeśli Tuffy i Mały Andy będą żyli, wydam ich. Szur-mowałbym piekło aby ich wydostać. Byli moimi przy-

— Nic z tego — odpowiedział. Wyjaśnił, dlaczego. Samochód należał do jego rodziców. Oni mieli klucze. Byli tam, w tamym domu, na wizycie u rodziców drugiego z chłopców.

Kazałem wysiąść im z samochodu. Poszli przede mną ścieżką, ku domowi. Dwie pary siedziały przy stole, grając w brydża. Trwała właśnie licytacja. Kazałem usiąść chłopcom na tapczanie.

— Przepraszam — powiedziałem — że przerywam państwu. Usiłowałem ich uspokoić, byli przerażeni widokiem uzbrojonego intruza o zakrwawionej twarzy.

— Proszę o spokój — powiedziałem. — Nie ma powodów do popłochu. Ni-

niech mi pan go zapali, dobrze?

Meżczyzna włączył motor, potem wysiadł, ustępując mi miejsca. — Niech się pan o niego troszczy — powiedział.

— Będę traktował ten wóz niby brata — zapewniłem go. — Jak tylko znajdzie się pan w domu, proszę zawiadomić policję. Oni już się zatroszczą o to by otrzymał pan swój samochód, jeszcze nim zda sobie pan sprawę z tego, że go stracił. Tylko proszę mnie nie obwiniać jeśli wpadnę w szal i samochód wróci do pana podziurawiony. Choć mam nadzieję, że to się nie zdarzy.

Odjechałem zostawiając właściciela Chavroleta na krawężniku, z mapami i papierami pod pachą. Myślę, że zastanawiał się, kim był ten dziwny facet, który poderwał jego wóz. Z pewnością, to byłaby podłość, gdyby policjanci zechcieli użyć jego nowego pięknego Chavroleta jako tarczy strzeleckiej, nie? Znów wytarłem krew z twarzy i pomysłowałem o rachunku z tego dnia.

Nie zarobiliśmy nawet 10 centów, tylko wstrząsy i kontuzje i guzy i komplikacje. Zdobyte pieniądze utraciliśmy, kiedy Ford trzepnął w palmę.

Zbrodnia nie popłaca. Jesteś po niewłaściwej stronie plotu. Słoneczny chłopce, rób dalej to co robisz, a skończysz w komorze gazowej.

Albo w kostnicy.

To nie, to tylko zakończenie groszowej powieści.

Pragnąłem papierosa. Papierosy były do uzyskania, to, co było treścią snów, było nie do uzyskania. Ponieważ chciałem zapalić papierosa, zatrzymałem samochód przed sklepem samoobsługowym. Był jeszcze otwarty. Wszedłem do sklepu, nogi jak z gumy. — Camele — powiedziałem do ekspedienta. Przyglądał mi się ze zdziwieniem.

— Mały wypadek — powiedziałem. Ekspedient podał mi dwie paczki papierosów. Sięgnąłem do kieszeni spodni, szukając drobnych. Kieszeń była pusta. To irytujące. To kłopotliwe. Cóż było robić, rozpiąłem płaszcz i pokazałem broń.

— Napad rabunkowy — powiedziałem. — Proszę podać banknoty, tak, jakby wydawał mi pan resztę.

Ekspedient wręczył mi czterdzieści czy pięćdziesiąt dolarów. Wepchnąłem je do kieszeni razem z papierosami. — Teraz reszta — powiedziałem. Mówi się to prawie automatycznie, bo zawsze jest jakaś reszta. Ekspedient sięgnął do szuflady i wyjął pudełko od cygar. Wziąłem pudełko, powiedziałem: — Dziękuję — i wyszedłem nie spiesząc się. Jeśli by ekspedient miał broń, mógłby mnie zastrzelić, gdy odwróciłem się do niego plecami. Ale był to czas, kiedy uzbrojeni ekspedienty byli najmniejszymi z molch kłopotów.

Tłumaczył:

JAROSŁAW MAREK  
RYMKIEWICZ

W NASTĘPNYM NUMERZE:  
CHESSMAN PRZEKRACZA  
PRÓG CELI ŚMIERCI

komu nie stanie się nic złego.

Siedziałem ich, wycierając krew z lewego oka; szrama znów krwawiła. Moje słowa, jak się zdaje, uspokoiły nieco obie pary. To dobrze. Być może, będą mogli mi pomóc. Być może, obejdzie się bez kłopotu.

— Kto jest właścicielem tego Chavroleta, który stoi przed domem? — zapytałem. Jeden z mężczyzn przy stole powiedział że samochód należy do niego.

— Potrzebuję go — powiedziałem, wyciągając lewą rękę. — Proszę rzucić mi klucze.

Meżczyzna wstał, wahając się. Spojrzył na mnie, nie tyle wojowniczo, ile z zakłopotaniem.

— No? — zapytałem.

— W Chavrolecie — zwrócił się do mnie — są mapy i papiery. Nie chciałbym ich stracić. Może mógłbym je zabrać z samochodu?

Prośba była rozsądna. — Oczywiście — powiedziałem — oczywiście, może je pan zabrać. Tylko bez kawałów. A państwo pozostaną tutaj.

Przeprósiliem za najście i razem z właścicielem Chavroleta wyszliśmy. Kiedy zabierał swoje papiery powiedziałem:

— Jeśli pan już tu jest,

odpisy str. 7

# Za rogatkami kultury

Waldemara Babinicza znamy od dawna. Ten doświadczony pedagog, świetny obserwator, a nade wszystko oryginalny pisarz, zadaje kłam legendzie lansowanej przez wielu twórców. Ze niby w Warszawie, ze względu na bliskość centralnych władz, najlepsi są pisarze. Gorszy już w Krakowie, jeszcze gorszy w Łodzi, Poznaniu czy Wrocławiu, a już na powiatowym, czy gminno-gromadzkim szczeblu? Lepiej nie mówić.

Babinicz na przekór modzie siedzi całe lata na kieleckiej wsi, stołecznego klimatu nie wdycha, po klubach, kabaretach i piwnicach z pewnością nie włoży się, ale za to pisze dobre i rzetelne książki.

miedzami, pośród drobnych trosk, spokojni i szczęśliwi. Jeżeli kłóć się nawet, to te spory nigdy nie naruszają odwiecznej struktury i hierarchii parafii.



Ale to są pozory, przesłonięte uroczą anegdotą, którą Babinicz zabarwił wszystkie listy. W gruncie rzeczy mamy do czynienia z książką jak najbardziej zaangażowaną, jak najbardziej walczącą o nowoczesne oblicze polskiej wsi.

Kiedyś powiedział Sienkiewicz: „systemała filozoficzne mijają, a msza się wciąż odprawia”. Babinicz powtarza to samo w roku 1959 ale z pozycji zupełnie odmiennych. Atakuje mianowicie system parafialny, pokazuje jego bogactwo i niezwykłą skuteczność w działaniu. To system wszechobecny w życiu wsi, sięgający każdej dziedzin prywatnego i społecznego życia gromady, czy gminy. Nie ma takiej sprawy, której nie penetruje ksiądz proboszcz z wikarym i niezawodna rada parafialna. Penetruje — to nazbyt łagodne słowo — parafia zdobywa przewagę, nadaje kształt polityce kulturalnej w gromadko-gminnej Polsce. Parafia jest uzbrojona, posiada wszystkie rodzaje broni, tradycyjne i nowoczesne. Jeżeli jeden ksiądz wzywa do siebie na znane od lat rozmowy prywatne i remontuje zabłąkane duszyczki w cztery oczy, to inny — powiemy ksiądz Pakula z Myszkowa — umie znależć organizować wszelkie możliwe zespoły artystyczne. Jest lepiej przygotowany do tej pracy niż niejeden kierownik Wojewódzkiego Domu Kultury. Równocześnie ksiądz Rafał trafia bez pudła do wyobraźni dzieci szkolnych, jako... nauczyciel rysunków. Jeszcze inny okaże się mistrzem sportu.

Rada Parafialna organizu-

je narodziny człowieka, całe jego doczesne życie i wyprawia na tamten świat. Parafialny teatr, występy z gitarą elektryczną w rękach, uroczystości na każdą okoliczność, zabawy, cenzurowanie gustów, mody, stosunku do świata, organizowanie „wycieczek do Lourdes” czy rozmaitych bractw i towarzystw — „Przyjaćiół Rozbudowy Plebanii”, „Wspierających Myśl Umoralnienia Katolickiego Parafian”, „Ignacego Loyoli”, „Kół ministrantów”, „Matek Poboznych”, „Sercanek” — Rada Parafialna to wielka potęga.

Ale Babinicz nie przecenia jej. Parafialny system kultury nie jest wszechmo-



gący, staje się jednak tym silniejszy, im słabiej działa nasz front kultury. A że działa kiepsko — parafian-szczyzna szybko zdobywa teren. Hasła socjalistycznej kultury, wołania o laicką postawę, które znudziły się już na szczeblach centralnych, tu — do gromady i gminy — wciąż jeszcze nie docierają.

„Listy z parafii” pokazują tę rażącą sprzeczność bez obstonek, atakują grzechy naszej polityki kulturalnej. Dlatego warto je polecić wszystkim działaczom kulturalnym, i to nie tylko tym z powiatowej, ale co najmniej w równym stopniu tym z wojewódzkiej i warszawskiej Polski.

W. J.

Waldemar Babinicz „Listy z parafii” Wydawnictwo Łódzkie 1960 r.



EDWARD STACHURA

## Pływanie

Pamiętam dawniej wędrować po fajans Po kukurydzę i inne klejnoty na wielkich biodrach i barkach wędrować do Fajans

Handel pamiętam wyborne dochody dla obu stron rzeki jasnej i czystej jak mój handel

Sól była tania a najmiłsza muzyka do obiadu kiedy soli dużo bo to jest piękna przyprawa

Na plaży sješta ma racji najwięcej tamta pamiętam gościnną szeroko, i tyle muszli i miękka jeszcze jak sen

A później znów na biodrach i barkach wędrować do Fajans i pory wieczornej kiedy lupy sprawiedliwe przesypywać, przesypywać między palcami



## Pola Elizejskie

Uroczystość zaprawdę później trochę więc pozdrowiona bądź kolejność

na rzeczy bardziej trochę lub arsenik albo te dwie wakacje równocześnie

Jak to jest że tak mało pokory ta chwila lania kiedy ręce na nią odpuszczam a więcej obdarzam

bo oto prawie trzymam swoją nieobecność źle omdlewają mi kwiaty w ogrodzie i łaźni

więc pozdrowiona bądź ostatnia pora imienin twój popiół biały w dzbany skrzętnie już po nas

i wdowy swój obłęd na gitarach zawodzić zawodzić



## Odplływanie

Ale teraz jest inaczej i czarna bieliznę należy dzieciom i koniom co ciągną wóz a tyle się kwiatów widzi jak schną jakby to jakiś Dante umierał albo ogrodnik

Ja myślę że to się powinno inaczej i w muszli odprawiać gdzie trochę gitary gdzie najwerniejsi i najwyżej trzy damy dotykają mu włosów ostatni raz

On się może i nawet uśmiecha przez sen



MAREK WAWRZKIEWICZ

# O Łódzkim kompleksie prowincji

Od dzieciństwa jestem człowiekiem głęboko uczuciowym. Poważne to obciążenie powoduje, że zachowuję się niejednokrotnie zupełnie inaczej niż normalny człowiek. Do tego włączam się na przykład produkcjami łódzkich satyrników, wypowiedziami polemicznymi poważnych i ogólnie szanowanych pisarzy, czy łódzkim odcinkiem programu Polskiego Radia — czyli w wypadkach, które na ogół kwitują się paroksyzmami śmiechu, zachowuję się co najmniej niestosownie. Ostatnio rozczulił mnie szczerze następujący wypadek: w dość przypadkowo zebrany towarzystwie wybuchła gwałtowna w tonie i sile głosów dyskusja na temat Łódź a Warszawa, która lepsza jako miasto, w

której się lepiej żyje i wogóle co to miasto, a co tak zwana „wiocha”. Zaperzeni dyskusjancji wydobywali z siebie potężny głos i przytłaczające racje, dobijając ostatecznie jedyne Bogu ducha winnego człowieka, który ośmielił się być z Łódź. Nie mam zamiaru rozprawiać się z jego przeciwnikami, chciałbym się właśnie jemu przypatrzeć i — jeśli się da — znaleźć w naszym mieście jemu podobnych.

Rzecz to stwierdzona, że my łodzianie mamy poważny kompleks prowincji. W takim kompleksie jako zjawisku ogólnopolskim nie widzę nic złego, uważam nawet, że jest konieczny. Jedną, niestety, mamy stolicę, a w niej teatrów, artystów, wielkich ludzi według ludowego porzekadła „jak mrówków”. Więc nie dziwne go, że cała reszta narodu zazdrości, wzdycha, chciałaby do tego wymarzonego rajku bez mieszkań i z poważnymi ograniczeniami meldunkowymi. Jak jednak

radzą sobie z rzeczonym kompleksem w innych miastach?

Kraków jest stateczny, dostojny, ma hejnał, historię, Skuszankę oraz „Przekrój” i udaje, że zarzut kompleksu prowincji wcale go nie dotyczy; więcej: wierzy w to święcie.

Wrocław? Tłumi kompleks tytułem stolicy Ziemi Zachodnich, wielką prężnością życia kulturalnego, „Hadesem”, Odrą i zielenią. Ale kompleksik ma.

I oto zacierając rączki jesteśmy w Łodzi. Mamy kompleksik? Mamy, mamy. Jakżeż on? Bardzo śmieszny. Przedstawiciele? Po kolei, panowie, po kolei.

Dziennikarze sportowi... Oni umieją wiele rzeczy. „Scibiorek znów w LKS-ie!” wołał kiedyś z entuzjazmem „Dziennik Łódzki”. Znów, rzeczywiście. Ale się nie dostał do reprezentacji na Wyścig Pokoju. Przepraszam, jest w rezerwie. Łódzianin Scibiorek. Więc powód do żaloby na szpalat kilka. Szymborski nie wszedł do re-

prezentacji. Łodzianin Szymborski. Więc „Ekspress”, „Dziennik” i „Głos” w achajskich wojowników się zamieniają i oblegają niczym Trójcę kapitana P.Z.P.N. Sprawiedliwości! On przecie lepszy od Hachorka! Pewien Niemiec naszego mistrza Pietrzykowskiego prawym sierpowym powalił na deskę. Ale łodzianin Józefowicz po walił się nie dał. Hosanna! Ciepzarowiec Silny z Katowic podniósł 91 kg. a łodzianin Mocny 92,5 kg. O półtora kilograma więcej! Trzy, cztery: śpiewajmy jego chwałę!

Czy kompleksik jest udziałem tylko dziennikarzy sportowych? Bądźmi sprawiedliwi, nie tylko. Mam czasem wrażenie, że nasza prasa cieszy się ogromnie kiedy w Łodzi jakiś huraganik (koniecznie lokalny), ewentualnie morderstwo ciekawe się zdarzy. Popatrz Polsko, oto łodzianin X, rodzinną kilkuosobową toporkiem bardzo dokładnie poszatkował! Bandziorek nasz kochany!

Wejdźmy wyżej prawie na sam Parnas. Łódzka Rozgłośnia Polskiego Radia to instytucja, która każde swoje wejście na antenę manifestuje przynajmniej dwukrotnym odbębnieniem majestatycznego sygnału wy-

wolawczego w każdych warunkach, nawet kiedy program ma opóźnienie i kiedy trzeba nadać kącik weterynaryjny. Nie będę już wspominał o triumfie zawartym w głosie spikera kiedy oznajmia „Tu mówi Łódź”, bo może to być moje czyste osobiste wrażenie. Ale nie tylko ja chyba zauważyłem zjawisko następujące: w każdej recenzji teatralnej (czytanej notabene jak poemat lub esej) aż do wyrażenia filozoficznego zawarte jest surowe napomnienie dla reszty narodu. Patrzcie rodacy, co to Łódź dla was zrobiła. Wspaniała inscenizacja powinna wstrząsać itd. itd. aż do zupełnego samoogłupienia.

Cecha powyższa charakteryzuje resztę nie tylko radio. Każdy spór, choćby pseudo-literacki stanowią na pewno poważną ulgę dla zniechęconych czytelników Lisieckiej czy Matuszewskiego. Bardzo się cieszy społeczeństwo kiedy się dwa wielcy ludzie bardzo na siebie w prasie gniewają. Zdarzają się i u nas takie spory. Nie wdając się w ich ocenę — najogólniej można stwierdzić: są śmieszne, są zaściankowe. Przeciwnie tej ostatniej cechy nie miałbym nawet sprzeciwów, gdyby nie to, że u nas wszystko odbywa się tak, jakbyśmy kłóć się

starannie sprawdzali czy cały naród dobrze słyszy i jakbyśmy przez cały czas patrzyli do góry i trochę na ukos na stolicę.

Nie chciałbym, aby zropaczony, Czytelnik mojego felietonu pomyślał, że wobec tego wszystkiego namawiam do zrezygnowania z wszelkiego życia kulturalnego, zaprzestania wydawania gazet, do zamknięcia się społeczeństwa w głębi domostw i w głębi siebie, oraz do przyznania się: gdzie nam do Warszawy! Zgodzę się bez wahania z każdym kto powie, że Łódź jako miasto wcale nie jest najbrzydsza w świecie, a jako zespół ludzi to coś nowego, młodego, niestannie się budującego. Szczera sympatią obdarzę każdego kto powie, że i o Łodzi warto piosenki pisać i wiersze układać. Będę szanował tych, którzy tylko w Łodzi czują się jak u siebie w domu, którzy są do niej bezapelacyjnie przywiązani, którzy swoje miasto kochają.

Ale proszę społeczeństwa: nie wspinajmy się na palce, nie podnosimy rąk i wołań przypominających szkolne czasy „ja proszę panią, ja”, bo właśnie to jest oznaką utajonego kompleksu prowincji. Kompleksu, na który Łódź na pewno nie zasługuje.







# WIESŁAW JAZDZYŃSKI OKOLICA starszego KOLEGI

Po drugiej stronie wzgórza  
dynek Liceum im. St. Żeromskiego, wystawiony w pierw-  
szej połowie XVIII wieku. W ścianie zewnętrznej znaj-  
duje się tablica z portretami i imionami dawnych uczniów

## Buczacki zastawia sidła

Jest rok 1933. Prowincjonalne miasto wojewódzkie posiada gimnazjum, do którego uczęszczało wiele znakomitości, m. in. Stefan Żeromski i ówczesny premier Sławoj Składkowski. Panowie licealiści z tego właśnie gimnazjum, podzielili się, zależnie od światopoglądu na trzy wielkie obozy: demokratów, arystokratów i sportowców. Arystokrata i demokracja walczyły przy pomocy krytyki („Bic chamow!”... „Bic szlachę!”) na intelekt (dowodzenie naukowe, z którego wynikało, że albo jeden, albo drudzy stanowią zakatę ojczyzny i powinni zniknąć) walczyły wreszcie przy użyciu broni ciężkiej (krzesła, kosze na smieci, kreda i inne sprzęty szkolnego użytku, jak kalamarze, pomoce naukowe itp.). A sportowcy wynajmowali się na przemian to tym to tamnym za „ściągawki”, podpowiadanie, odrabianie lekcji i w ten sposób przechodzili z klasy do klasy. Sportowcy są zainteresowani w wojnie.

Tymczasem dwóch wybitnych arystokratów — Książę i Buczacki odbyło krwawą pojedynkę na szable o kobiecie. Buczacki, typowy czarny charakter, skompromitował się, chciał bowiem zabić Księcia zżenacka. Dlatego został publicznie wyszydzany i okrzyknięty infamisem. Buczacki poprzysiągł zemstę całej klasie, gdyż z okazji pojedynki dwa wrogi obozy pogodziły się.

Co zrobią biedni sportowcy? Kto będzie za nich odrabiał lekcje? Przecież dwa wodzowie: Miazga (od demokratów) i Książę (od arystokratów) podali sobie rękę? Komu się będą wynajmować? I jak się zemści Buczacki?

gdy”. Czas rozstać się z myślą o darmowym kinie lub cyrku, koniec, pieśń skończona.

Przywódcą sportowców, sławny siłacz Florek, wykazujący od czasu do czasu odrobinę inteligencji, i tym razem zdołał wyprowadzić obóz z matni. Sportowcy przydybali w kacie za pięciem Szopena i zagrozili mu „ciemną mogiłą”, jeżeli nie wyjaśni, czemu nie ma wojny pomiędzy arystokratami i demokratami. Wystraszony naukowiec z ściągniętą skrupulatnością opowiedział przebieg sensacyjnego pojedynku i jego niezwykły epilog.

— Niby to hrabiowie, a chamy nie z tej ziemi, pili bez nas, koleczy, pieska ich niebieska — sportowcy nie mogli przeboleć kolacji w knajpie na Słowiku. Odzywał się jednak pewność siebie. Rzetelne poznanie zawsze stanowi — jak wiadomo — podstawę skutecznego działania. Specjalna delegacja obozu — piłkarz, lekkoatleta i hokeista — złożyła Księciu wyraz szczerego ubolewania z powodu brutalnej napaści „tego łobuza Buczackiego” na honor i życie gwiazdy błyszczącej na szeroki firmamencie licealnej klasy. Puchał obnosząc triumfalnie po korytarzach, wreszcie:

— Puchalus vir fortissimus est!

Równocześnie, na dowód przyjaźni zupełnie szczerzej i bezinteresownej, zaczęli szeroko rozprowadzać na prawo i lewo o niezwykłym bohaterstwie księcia i chłopca. Trudno co prawda posądzać sportowców o wybujałą fantazję, a jednak w rezultacie ich propagandy zdziwiony dyrektor szkoły wysłuchał musiał delikatnych wymówek przewodniczącej Komisji Rodzicielskiej — pani Sędziny.

— Jakże to, panie dyrektorze! Całe miasto aż huczy! Oficerowie artylerji rozpływają naszą młodzież w ruinach zamku checińskiego. Panie dyrektorze, pijani oficerowie patrolują pojedynkom, nasza młodzież łnie się szablami na Lysej Górze panie dyrektorze. Trzeba zaalarmować dowódcę pułku, albo lepiej dowódcę dywizji, pana wojewodę, pana prezydenta naszego miasta! Ciępił dobre imię szkoły, do której chodził pan premier Sławoj-Składkowski, nie mówiąc już o utalentowanym, bądź co bądź, Żeromskim.

Rad nierad zabrał się dyrektor Jeleń do gruntownego śledztwa. Ale kiedy je rozpoczął pojawił się niespodziewanie w szkole pan wojewoda Lułowiecki i złożył wyjaśnienie, po którym śledztwo straciło wszelki sens. Owszem, młodzież fechtowała się ale nie na Lysej Górze, lecz w Posłowicach i to pod jego okiem, pod czujnym okiem pana wojewody. To wszystko co było.

Infamis dyszał pragnieniem zemsty. W czasie przerw nie opuszczał klasy. Po lekcjach dosiadał natychmiast konia i gnał do domu. Setki razy wyszydzony, setki razy upokorzony czekał cierpliwie na wielki dzień zemsty. A zemstę przygotował pracowicie, obmyślił każdy szczegół, przewidział każdą okoliczność. Uderzył od razu we wszystkich, w całą bandę nazywaną szkołą. Popamiętają go wszyscy i Książę z podróbnymi pa-

pierami i zbuntowany chamus Miazga.

Rolę ślepego narzędzia, ręką karzącej bezwzględnie spełnić miał najprzystojniejszy w całym mieście policjant. Wybraniec Buczackiego odznaczał się istotnie wybitnie męską urodą, prawdziwą zupełnie niesfałszowaną kopią znakomitego aktora filmowego, aktualnego bożyszczą kobiet. Stąd też plutonowego nazywały dziewczęta Gary Cooperem. Natomiast w aktach personalnych zapisano tego stróża państwowej na skalę wojewódzkiego miasta, bożek piękności ustawiony na skrzyżowaniu głównych ulic. Nie było było roboty na tym skrzyżowaniu. Dwa samochody równocześnie — takich wypadków nie pamiętano od czasu przejazdu prezydenta państwa przez miasto, ale to było przed dziesięć laty. Kwiatek studiował więc pracowicie wdzięczne pozy, balansował niedbale białą pałeczką z gumy, salutował szarmacko, a Gary Cooper przeszywał równocześnie dziewczęta spojrzamią godnymi Adonisa. Ale Adonisa, opanczonego z kasy państwowej był idealnie łysy, o czym mało kto wiedział, nie wiedział w każdym razie jego wielbielki. Z racji tej przywary plutonowy Kwiatek nie zdejmuwał czapki nawet podczas największych upałów. Ten fakt tłumaczono głębokim przywiązaniem do służby, co było zupełnie słuszne, plutonowy rzeczywiście postanowił dokonać żywota w służbowej czapce na głowie.

Buczacki zetknął się z Kwiatkiem niby to przypadkowo, podczas meczu piłkarskiego. Obaj nie interesowali się tą dziedziną sportu, obaj jednak mokli cierpliwie na deszczu. Kwiatkowi wyznała Komenda dyżur, Buczackiego przegnała na stadion chęć zemsty. Teraz, albo nigdy! Zaraz po meczu przypomniał się Kwiatkowi.

— A pan Buczacki pamiętam, pamiętam, to była ciekawa sprawa.

Poprzedniego roku Kwiatek prowadził śledztwo przeciwko chłopom, którzy skradli kilka metrów drzewa z Lasu Buczackich i wykałał zdumiewającą energię. Stary dziadek z rozrzewnieniem wspominał wtedy jeszcze kaprala Kwiatka, przez długi czas posyłał mu zajęcia i nalewki, dziękując każdorazowo za zlikwidowanie bezcelnej bandy rabusiów rodzowego mienia Buczackich.

Deszcz nie ustawał, wstąpił więc do małego sklepiku spożywczego. Wprowadził właścicielowi nie wolno było sprzedawać alkoholu, ale dla wtajemniczonych gości nigdy tego trunku nie brakowało. W dyskretnie ukrytym za kotarą pokoiku można było pogwarzyć swobodnie przy kieliszku. Zbierali się tu często kibice miejscowej drużyny piłki nożnej, oblewali zwycięstwa, lub też „zalewali robaka smutku”, jeżeli ich pupile ponieśli klęskę. Nielegalna knajpa prosperowała świetnie dzięki opiece policji. Dzielnica była podła — puste pola, posępne nieużytki między cmentarzem i przedmieściem Pakosz. Dla kuraczu, przed smutną służbą warto było wypić, po szczęśliwie zakończonej służbie też. Policjanci nader chętnie wymieniali swoje milczenie na szklaneczkę dobrej mocnej wódki, jeszcze chętniej za dwie.

Kwiatek przyjął zaproszenie młodego dziedzica, traktował je zresztą jako dalszy ciąg uprzejmości świadczonej mu przez gościnniego dom Buczackich. Podczas nudnego meczu zmarł „na kość”, a nie tak nie rozgrzewa jak wódka, zwłaszcza na koszt bliźniego. Rozsiadł się wygodnie na krześle nie zdejmując czapki. Za oknem deszcz i mgła, puste pole pełne dołów, z których wydobywano piasek. Dalej małe, nędzne domki przedmieścia, rozcięta dynamitem i kilofami góra. Wiatr zdmuchiwał liście z drzew. Tylko siedzieli w ciepłym pokoju i pić. Buczacki rozlał wódkę i rozpoczął dyplomatycznie.

— Słyszalem dużo o pana fenomenalnej pamięci. Zdrowie pana sierańta!

— W rzeczy samej chwała mi za to — Kwiatek wychylił jednym haustem szklaneczkę — ale pan się pomylił panie Buczacki, ja wciąż jestem zwykłym plutonowym.

— Ale będzie pan sierańtem i to szybko, jak bym już to widział — Buczacki położył na stole paczkę „Silesii”.

— Ma pan coś dla mnie? Kwiatek nadstawił uszu.

— Co za intuicja, od razu pan zgadł. Zna pan niejaki Miazga? Taki świński blondynek z czarnymi oczami typowa twarz krety, za sam wygląd powinien dostać ze dwa lata.

— Owszem, owszem, przypominam. To ten paser z koleżki, co?

Buczacki uświadomił sobie niechętnie, że będzie musiał mówić konkretnie. Cóż za duren z tego Kwiatka, nie a nie nie pamięta. Intryga zbudowana na aluzji, na dyskretnym przypomnieniu zawiódła. Zamówił jeszcze wódkę, twarz przyozdobił uśmiechem pełnym życzliwości i uznania.

— Muszą być do siebie podobni jak te dwie kropelki wody, jeżeli nawet taki jak pan ich pomylił. Ale mnie o kogo innego chodził, panie sierańta, a właściwie o całą grupę. Pan spisywał im na własną prośbę za naruszenie spokoju publicznego, czy jak się to nazywa. Po przedstawieniu, tym aktorem ze spalonego teatru pamięta pan?

Ryba chwyciła przynętę.

— Ci gimnazjaliści?

— Owszem, ci.

Plutonowy zacisnął ołbrzymie pięści. Nie, to nie plutonowy je zacisnął lecz Gary Cooper, męczyszyna ugodzony w najczulsze miejsce. Jeszcze przed wakacjami, na zakończenie roku szkol-

nego wystawił teatr gimnazjalny „Wesele”. Uroczysta premiera odbywała się z niebawiają pompą, w pięknym pałacu sportowym, wyłożonym marmurami i ochrzczonym imieniem marszałka Józefa Piłsudskiego. Przedstawienie raczył z uznaniem oglądać pan generał, obaj panowie pułkownicy wojewoda, wicewojewoda, prezydent miasta, starosta i wszyscy stkie inne znakomitości. Prócz Justyna wszyscy demokracji grał z wielkim powodzeniem chłopów. Czepiec w którego roli wystąpił sam Miazga, zbierał zasłużone oklaski. Miazga przywiózł prawdziwe kosy z rodzinnej wioski, uzbroidł nim członków swojego stronnictwa, którzy zjawili się na scenie gdy zagrzmiął złoty róg. Książę grał dziennikarza, Tramencourt osiągnął sukces jako pan młody Justyn popisał się jako Stańczyk, Lułowiecki jako poeta. Całość reżyserowała polonistka.

Publiczność wojewódzkiego miasta, pozbawiona stalego teatru, przyjęła spektakl entuzjastycznie. Kurtyna szła kilkakrotnie w górę, co sprostowało dyrektora Jelenia do wyjścia na scenę. Aktorzy dostąpili niebywałego szacunku, wzruszony dyrektor całował po kolei znakomitych odtwórców dramatu na oczach setek widzów. Wygłosił też oświadczanie przemówienie, w którym wyraził głęboką żal z powodu śmierci Wysockiego, któremu na skutek tego smutnego faktu nie było danym doczekać tej premiery a przecież mógł sobie jeszcze żyć dla ogólnego dobra, gdyby złośliwe Parki nie przecięły nitki jego pracowitego żywota.

Aktorzy, podnieceni wielkim sukcesem, wybiegli zwałą gromadą z teatru. Dla prostego fasonu nikt się nie przebiegał w granatowy mundurki szkolny. Do przodu wyskoczył długonogi dziennikarz, za nim poeta, pan młody, wreszcie Stańczyk z kaduceuszem w ręku. Czepiec i jego kosynierzy pokrzykiwali butnie, że zrobią nareszcie rewolucję w tym zaspanym mieście. Niedaleko pałacyku w którym urzędował pan starosta, zaarrestowali kosynierzy jakiegoś przechodnia. Po krótkiej naradzie postanowiono skrócić go na początek o głowę, gdyż jak brzmiało uzasadnienie wyroku — nazbyt z pańska się nosi. Zaarrestowany jął wzywać rozpaczyliwie pomocy, tak bardzo zależało mu na własnej głowie. Po chwili nadszedł plutonowy Kwiatek, który dyżurował właśnie w pobliżu. Napadnięty obywatel domagał się energicznie ukarania łobuzów i chuliganów wiejskich.

— O co się tu rozchodzi? — zapytał rzeczowo plutonowy wyjmując notes służbowy.

Miazga dotknął kosą piersi arestowanego i wyrecytował głębokim basem.

— Pan się boją we wsi ruchu.

Pan nas obśmiewajom w duchu!

Plutonowy uśmiechnął się życzliwie. Drobiazg zwykła zabawa, daj dobry panie Boże całe życie takie okoliczności. Zajęło się by się zapewne już w tym miejscu, gdyby nie Stańczyk. Błazen królewski, błazen tragiczny, przytknął kaduceusz do ramienia najprzystojniejszego policjanta w mieście, drugą ręką chwycił młode drzewko i potrząsnął nim silnie.

— Puszczycy!  
Zgrałeś się przy zielonym stoliku  
czy z kobietami w gorące opętałeś duszę miłością i w tej chwili  
pałacem osiepił gnasz we własne próchno!

Kwiatek, który miał właśnie za sobą noc, spędzoną przy kartach w wesołym i mieszanym towarzystwie, potraktował wystąpienie Stańczyka jak najbardziej poważnie.

— Co się tutaj wygaduje? To jest obraza władzy w czasie pełnienia państwowej służby. Ja pana zapiszę na tę okoliczność.

Kilka osób powracających z teatru przystanęło z prostej ciekawości, za nimi jeszcze kilka i tak rosło powoli zbiegowisko. Poeta wznosił głowę do gwiazd i skrzyżował ręce na piersiach.

— Bawię pana galanterią, przez pół żartem, przez pół serio; Stąd się styl osobny stwarza: Nikt nikogo nie dosięga, nikt nikogo nie obraża — na lokcie różowa wstęga — nie wieście do cyrkularza!

Poeta był wyraźnie natchniony, to pewnie z gwiazd spływała na niego jakaś niewidoczna siła. Książę słuchał poezji i drzewa zastygły, słuchali też chętnie ludzie. Posypały się brawa, a już najlepiej bawił się wystraszony jeszcze przed chwilą obrońca swojej własnej głowy.

— Cóż za miły chłopcy, moi państwo a jacy czytelnicy, przyjemnie słuchać. Od razu widać, że będą z nich ludzie!

Nieco speszony policjant schował notes do kieszeni i zbierał się do odejścia. Wtedy właśnie nastąpił ów tragiczny w skutkach incydent. Na pożegnanie Czepiec skłonił się nisko przedstawicielowi władzy, a za Czepcem reszta kosynierów. Dranie, ach co za dranie, podnosili pawie pióra tak niezgrabnie że... niestety stało się. Czapka spada z głowy Gary Coopera, w świetle księżyca zażyła idealnie łysa czaszka plutonowego Kwiatka. Plutonowy poczuł nagłe, że jest nagi, odsłonięty przed nieznanymi ludźmi do najdrobniejszego szczegółu. Kilka dziewcząt aż pisnęło z wrażeń.

— Mily ty mój Boże! Nasz Gary Cooper łysy!

Na drugi dzień wiedzieli o tym całe miasteczko. Wielkie powodzenie przepadło. Koniec ze służbą w niedzielę, na skrzyżowaniu głównych ulic, kiedy roześmiane panny wychodzą z katedry, Kwiatkowi pozostały już tylko nędzne przedmieścia.

— Owszem, panie Buczacki, teraz przypominam dokładnie, nawet bardzo dokładnie. Ten Miazga coś nowego zbroił?

— Zbroił, na pewno zbroił, razem z tą całą bandą, jeżeli pan nie zapobiegnie.

— Już ja tym zasnarcem chętnie zrobię koło tych, jak im tam, koło no... pawich piórek zrobię. Ma pan konkretne dane?

Buczacki napelniał szklaneczkę.

— Niech się pan postara być w piątek na skwerze, koło szkoły, o drugiej po południu panie Kwiatek, i niech pan weźmie na wszelki wypadek kilku ludzi, mogą się przydać. Nie panu więcej nie powiem, panie sierańta.

Sytuacja Buczackiego godna była zaiste pożałowania. Spadło na niego odium straszliwe. Już następnego dnia biegali za nim watahy rozwrzeszczanych i bezlitosnych uczniaków.

— Zyg, zyg, zyg! Infamis est, biała jego twarz!

Buczackiemu nikt nie podawał ręki, do Buczackiego nikt się nie odzywał, Buczackiemu pokazywano plecy przy każdej okazji. Pełna zazwyczaj rozmaitych sprzecznosci, zawsze zmierzwiłona i podzielona na dziesiątki grup społeczność szkolna okazała w tym wypadku zimną i pełną okrucieństwa jednomyślność. Biała temu, kto śmie narazić się szkolnej opinii: cokolwiek uczyni, będzie oszpecony, iktóre pojmie próbę powrotu do gromady, będzie po trzykroć wyszydzony, wreszcie musi opuścić bezradnie ręce, albo wem opinia szkolna sama usuwa poza nawias nieszczyśliwych i sama ich życia porwaca.

Nawet sprzedajni sportowcy nie chcieli przyjmować od Buczackiego żadnych usług, ani pożyczki, ani fundy, ani konia na przejażdżkę. Początkowo istotnie byli zdezorientowani albo używając szkolnej nomenklatury — kompletnie zbaranieli. Zgoda odwiecznych wrogów? Książę i Miazga chodzą po szkole przytuleni do siebie, zaprzyjaźnieni jak Mickiewicz z Puszkimem? Nie do pojęcia! Komuż się w takich nienormalnych warunkach wynajmować? Rzeczywiście nie wyglądała wesoło. Skończyły się nagle dobrodziejstwa żołnierki, czas zapomniać o ściągawkach. Nikt ich już więcej nie będzie słodko hołubił przy bufcie, wobec eleganckich pań z Komisji Rodzicielskiej, szkoda nawet marzyć o papierosach, nie ma już żadnej nadziei na pożyczkę, którą oddało się na „święty-ni-



(D.c.n.)



## W tym tygodniu radzimy obejrzeć

Jak zwykle zaczynamy od czwartku. A więc:

**CZWARTEK 19 MAJA.** Zaczynamy o godz. 17 składanym programem dla dzieci, pomiędzy 17.45 a 18.25 krótka przerwa, potem kolejno: Łódzka Kronika Filmowa, program publicystyczny z Łodzi, Tele-echo, dziennik telewizyjny i Tele-reklama z Warszawy.

O 20 program publicystyczny z W-wy opatrzonej nader atrakcyjnym tytułem „Mezowie i Żony”. O 20.45 — „Kobra”. Wideo-sensacyjne wg sztuki Anthony Armstronga pt. „Tylko 10 minut”.

**PIĄTEK, 20 MAJA.** Znowu zaczynamy o godz. 17 programem dla dzieci: teatrzyk dla przedszkolaków „Taś-taś” i koncert rozrywkowy z Łodzi w programie lokalnym.

O 18.30 kolejny X program z cyklu „Historie z tej ziemi” — „Od Neandertalczyka do człowieka współczesnego”.

O godz. 19.00 druga część składanego programu filmowego pt. „Piosenka nie da ci zapomnieć” — pierwszą oglądaliśmy przed dwoma tygodniami i trzeba przyznać, że pozostawiła po sobie miłe wrażenie.

Dziennik telewizyjny, Tele-reklama i o godz. 20 film produkcji francuskiej „Niech żyje wolność”.

**SOBOTA, 21 MAJA.** O 17 Młodzieżowe Studio Poetyckie, przerwa, o 18.35 magazyn kulturalny „Pegaz”, potem dziennik i dopiero o 20 film fabularny produkcji angielskiej „Urodzony w październiku”.

O 20.45 program rozrywkowy z Warszawy — no, trzeba przyznać, że poziomem audycji rozrywkowych Warszawa ostatnio zdecydowanie bije Łódź, tak że mamy nadzieję, że i ten program okaże się interesujący.

**NIEDZIELA, 22 MAJA.** O 11.30 program wymienny (do Berlina, Pragi i Budapesztu) pt. „Gościmy dziś w Warszawie”. O 13 film krótkometrażowy z Łodzi i zaraz potem transmisja drugiej części spotkania w pilce ręcznej Polska — Szwecja z Katowic.

Jeszcze jeden film krótkometrażowy, felieton z Warszawy i o 14.30 teleturniej pt. „Technika radziecka”.

Po teleturniej krótka przerwa. Program zostaje wznowiony o 16.10 „Mieśnię z okienka”. Po nim, o 16.25 film produkcji amerykańskiej „Disney Land”.

O 17.10 estrada literacka — „Granica” Zofii Nalkowskiej.

Film krótkometrażowy, dziennik i wreszcie o godz. 21 film produkcji francuskiej „Przedstawienie żalowe”. O 22.30 — wiadomości sportowe.



Co by tu ciekawego pokazać naszym ukochanym Telewidzom...

## Heca z „Wiosną”

Nie tak znów dawno temu Telewizja — Łódź nadała szalenie rozrywkową audycję pod wdzięcznym tytułem „Wiosna, wiosna”. Audycja nie byłaby może taka zła, gdyby nie oszukańczy tytuł, który świętego mógłby wyprowadzić z równowagi. No bo wiosna to wiadomo — kwiaty, miłość i „te rzeczy”. Jakis, przepraszamy za słowo; seks, jakaś ładna dziewczyna (może być tancerka), jakaś altanka i tak dalej.

A tymczasem audycja rzeczona była absolutnie i wyłącznie (za wyjątkiem piosenki śpiewanej przez dziewczynę na motorze z ładnym podkładem z tele-kina) do placu. Ciągłe się ktoś rozstawał, ktoś cierpiał i coś przeżywał. Była nawet jedna Ofelia nad balią, która zapewne wyłącznie przez niedopatrzenie nie wpadła do wody i nie utopiła się, jak tego chce Szekspir.

Nie, panowie, tak nie można. Wystarczyłoby dać audycji tytuł „Msza żałobna z okazji...”, albo „Każy się tak rozstaje jak potrafi”, a

wszystko byłoby w porządku. Bo — tak prawda a Bogiem — w audycji było kilka ładnych pomysłów i ciekawych piosenek, ale zgoliła na inny temat.

Sprawa zaś wbrew pozorom — jest szersza. Jeżeli się człowiek nastawi psychicznie na coś określonego (audycję naprawdę rozrywkową, dramat psychologiczny, kryminał) to nie może, po prostu nie może natychmiast i na komendę „przeźwici” swojego nastroju na inną falę. Kto nie wierzy, niech zrobi prosty eksperyment — zabieramy znajomego na wesołą komedię do kina i w ostatniej chwili (nie uprzedzając „klienta”) wprowadzamy go na tzw. film psychologiczny. Choćby facet lubił takie filmy a film był jak najświetniejszy, to przez ładne pół godziny będą go diabli brali, bo się szycował na coś innego.

No a jak audycja w telewizji w ogóle trwała niewiele ponad pół godziny, to co?...

### Znów list Horacego Bączka

## Nie wierzę telewizji!

Zmuszony jestem panie redaktorze, napisać dziś znówu dlaczego nie wierzę telewizji. Oto w czasie transmisji z Wyścigu Pokoju, z powodu nazbyt szybkiego przebiegu kolarzy na mecie powstała pewnego dnia luka w programie, która

kopter to dlaczego telewizja i radio nie... się na dobra lornetka dla sprawozdawcy Przecież on ciągle krzyczał: „Jadą kolarze! Jadą! Ale nie wiem kto!”

Doprawdy wielka szkoda! Nie dowierzam również te-



trzeba było czymś wypełnić. Tu okazało się, że filmtęka naszej TV... nadzwyczaj u-boga. Ze tylko tu i ówdzie powiewała się jakieś filmy, które, na dobrą sprawę powinny już leżeć głęboko w archiwum. Wie pan co wyświetlono? Film o boćwie węgierskiej drużyny piłkarskiej w Egipcie, Rok produkcji 1954!

Druga sprawa to udział helikoptera w Wyścigu Pokoju. Czy nie uważa pan redaktorze, że jest to całkiem zbe-dna historia? Czy nie sądzi pan, że daleko lepiej byłoby transm... obraz z kamer umieszczonych na samochodach? I bliżej i wyraźniej, bo wóz mógłby zabrać o wiele lepsze urządzenia? Nawiasem mówiąc sprawozdawcy radia też mogliby lechać malwm samochodem z krótkofalówką. Poza tym jak już był heli-

lewizji na podstawie tego co przetelefonował do mnie niejaki Leszek Sk. Pan Leszek wziął udział w konkursie ogłoszonym przez łódzka TV na zdjęcie o Łodzi. Nadesłał swe prace w pierwszym terminie, więc zdjęcie zdaje się w grudniu ub roku. Potem był komunikat o orzesunicie terminu nadsyłania prac do 15 maja. Ale przez ostatnie dwa miesiące, przed uływem tego terminu łódzka TV nie puściła parv z geby na temat swojego konkursu. Dzwoniłm. Pytałm o szczegóły red. Urbankiewicza który re-f... konkursowe sprawy na ekranie Odsar! nam: — Niestety, nie mogę panom nie powiedzieć, bo nic nie wiem.

Może ktoś tam jeszcze o tym konkursie pamięta?

HORACY BĄCZEK w miejscu

**OD REDAKCJI:** Nie chcieliśmy aby napastliwe listy ob. Horacego Bączka wzięły nasze insynuacje i już wkrótce przekażemy redakcji telewizji adres autora.

**POZA TYM ODPOWIADAMY** Ob. Horacemu Bączkowi na jego pytanie postawione w poprzednim numerze „Ogłosów” czy otrzymaliśmy jakieś wyjaśnienie na list w sprawie konkursu na postać telewizyjna

Niestety obywatelu Horacy, nie otrzymaliśmy. Widać nam nie czytują.



## Nowy dom kultury

Otrzyma go upośledzona re dokonają remontu i adaptacji w budynku uży-tadem Dzielnica Górna, a kowanym dotychczas przez konkretnie rejon Chojen. Określenie „otrzyma” nie jest zresztą w tym wy-pakdu właściwe.

Otóż Dzielnicowy Dom Kultury powstaje przede wszystkim dzięki inicjaty-wie i funduszom tamtej-szych zakładów pracy, któ-

re dokonają remontu i adaptacji w budynku użyt-dem Dzielnica Górna, a kowanym dotychczas przez konkretnie rejon Chojen. Zakłady im. Niedzielskiego. A zatem jeśli prace adaptacyjne zostaną zakończone w terminie — już za 2—3 miesiące mieszkańcy Chojen będą mogli się spotkać w Dzielnicowym Domu Kultury.

## Warto kupić

Jan Gitlin — jeden z naj-ciekawszych polskich pod-różników i dziennikarzy napisał nową książkę. Nosi ona tytuł „Madonny i torreadorzy” i mówi o ojczyźnie rycerza z La Manczy — Hiszpanii.

Dzisiejsza Hiszpania jest dla nas krajem cokolwiek egzotycznym i absolutnie nieznanym. Natomiast Gitlin — jest świetnym obserwa-torem i potrafi zajmująco, ciekawie pisać. Z takiego zestawienia wynikać może tylko jedno: pasjonująca książka.

Dobrze się stało, że tym razem „Ruch” nie pokpił spraw tak, że „Madonny i torreadorzy” kupić można nawet w kiosku z gazetami.

Warto również kupić ar-cwiekawa książkę łódzkiego powieściopisarza Zbigniewa



## Dobre pomysły

Już niedługo dzięki Ra-jekcje etud filmowych czy dzie Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich w Ło-dzi będziemy świadkami

Autorem drugiego dobre-go pomysłu jest tym razem Państwowe Przedsiębior-stwo Imprez Estradowych w Łodzi. Począwszy od po-łowy maja w łódzkich par-kach i podmiejskich ośrod-kach wypoczynkowych (np. Grotniki) aktorzy „ESTRA-DY” wystąpią z begatym programem satyrycznym.

## Goście w Łodzi

Tak się jakoś złożyło, że Nowym) popularny autor w ubiegłym tygodniu go-ścił w Łodzi przede wszy-stkim ludzie sceny i estra-

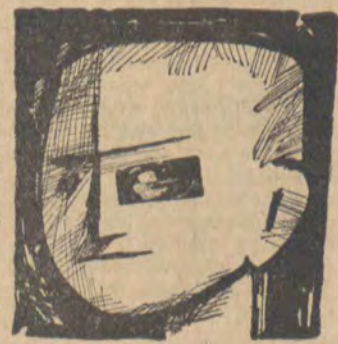
No i wreszcie ostatni gość. Od dzisiaj (19 b. m.) roz-pocznają się w Pałacu Spor-towym występy Zespołu Pieś-ni i Tańca „Śląsk”, który przez cztery dni lodzianom dano podziwiać dzięki ini-cjatywie „Głosu Robotni-czego”.

W Łódzkiej Telewizji wy-stąpił z dowcipnym komen-tarzem swej sztuki „Kugla-rze” (granej w Teatrze

## Warto obejrzeć

W tych dniach otwarto w salach nowej Biblioteki U-niwersyteckiej (ul. Matejk' 34-38) wystawę pn. „Prasa łódzka w latach 1863—1944). Jak z podanych dat nie-dwuznacznie wynika powyż-sza ekspozycja stanowi przekrój przez ponad 80 lat łódzkiego dziennikarstwa.

Bardzo ciekawa. Zwią-szcza prasa podziemna z o-kresu ostatniej wojny.



## TELEWIZJA

## w sali operacyjnej

Telewizja oddaje ogromne usługi w medycynie. Oto kamery TV zainstalowane na sali operacyjnej podczas zabiegu. Studenci zgromadzeni przy ekranach mogą obser-wować z największego zbli-żenia ruchy rąk chirurga przeprowadzającego operację. Dawniej obserwacje takie mō-żliwe były jedynie poprzez wysoki szklany sirop nad sto-łem operacyjnym. W Polsce nie stosuje się jeszcze takich urządzeń TV w pracach na-szych akademii medycznych. Telewizja przeprowadzała je-dnak transmisje z operacji, bądź bezpośrednio, bądź przy pomocy nagrań telerecordin-gowych.





„Rozwój” — dziennik polityczny, przemysłowy, ekonomiczny, społeczny, literacki i ilustrowany, rocznik 1899, miesiące I—VI, nry 53, 55, 58, 59, 63, 85, 90, 120, 139.

#### KOMUNIKACJA ŁÓDŹ—KALISZ

Z chwilą wprowadzenia mi dla Łodzi. Wobec tego w Łodzi tramwajów elektrycznych na linii od Starego Miasta do Rynku Górnego (Geyera), kursujące dawniej na tej przestrzeni w kierunku nie znalazły pasażerów i stały się zbędne-

Wobec tego przedsiębiorcy wehikułów komunikacyjnych między Łodzią i Kaliszem. Omnibusy te wyjeżdżają z Łodzi, gdy dostateczna liczba pasażerów...



#### NEKROLOG

S. P. August Zawisza nowca, Lubstowa — zmarł Czarny były właściciel So- w Krakowie 20 czerwca boty, Lagiewnik, Bałut, Ja- 1899 r. przeżywszy lat 85.

#### ODPOWIEDZI REDAKCYI...

MAZUROWI — Albo to jest POEZJA? Nie drogi panie, rymy, a tembardziej częstochowskie nie stanowią poezji, która wymaga wcielania pięknej myśli w piękną formę! Z tej racji wiersz pański nadaje się do druku; najrozumniej będzie zaniechać rymowania, bo nie masz szanowny pan po temu ani odrobiny talentu, któryby pozwolił mniemać, że może choć w przyszłości wykluczyć się coś z tego ziarneczka niezmiernie chudego...

#### ODCZYTY POPULARNE NA KSIĘŻYM MŁYNIU

Szereg odczytów popularnych na rzecz ochronki I, rozpocznie się w nadchodzącą niedzielę w sali Bauma na Księżym Młynie. Odczyt

będzie urozmaicony 26 różnymi obrazami. Następne odczyty będą się odbywały co niedziela o godz. 6-tej na Księżym Młynie. Odczyt

#### Z KURATORYUM TRZEŹWOŚCI

W tych dniach zwrócił się przesydujący w Łódzkim Kuratorium Trzeźwości do Prezesa Łódzkiego Towarzystwa Lekarskiego z odezwą w której uprasza lekarzy o liczne zaszczytne pisywanie się w poczet członków wspomnianego Komitetu.

#### NOWE KAPIELE W ŁODZI!

Pan Beitler urządził przy ulicy Widzewskiej nr 120 na sposób zagraniczny łaźnię i kąpielice.

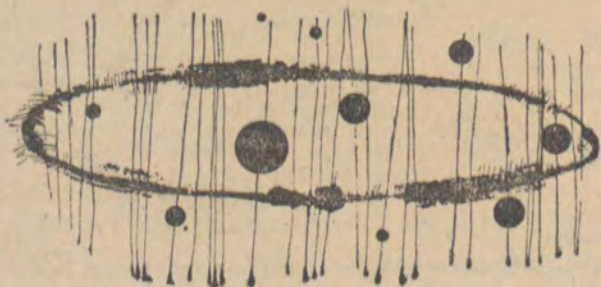


#### KEFIR

ze świeżego, pachnącego i przegotowanego mleka sta poleca wina lecznicze, wody mineralne naturalne i sztuczne.

Z materiałów archiwalnych wybrał:

#### ZDZISŁAW KONICKI



#### ZYGMUNT FIJAS

## O szkodliwości kominów

Lubię rozmawiać z przeciwnikami współczesności... Z tymi obywatelami liczącymi ponad sześćdziesiątkę, noszącymi kapelusze, podobne do tych, jakie zjebią głowy szarytek, nie uznającymi sztucznych komet i transoceanicznych odrzutów, chwytającymi cesarzy, piwo w ciężkich kufiach i prele... tworzącymi własne systemy filozoficzne. Kiedyś spotkałem jednego z takich myślicieli i oto co pomyślałem:

Nie jestem człowiekiem nowoczesnym, drogi panie... Nie mówię „nylon” zamiast „lajnohajt”, „linotyp”... Nie dostaję wypieków na twarzy na widok byle sitka z żywicy mocznikowej czy melaminowego ultrapasu... Na walizki fibrowe mówię skromnie „fibrowe”, nie „cotton-dowe”. „Obojętne mi jest jakiego koncertu słucham, na gitary hawajskie czy pneumatyczne... Także szcze gólem bez znaczenia jest dla mnie, po jakich schodach idę: stałych czy poruszanych elektrycznością... Dlatego nie lekceważę znaczenia kwasorodu.

— Cóż to takiego ten kwasoród? — Kwasoród nasycza sobą powietrze od najbliższych pokładów biosfery po stratosferę... Kwasoród jest przyczyną kwaśnienia mleka i fermentacji piwa, kwasoród rozwija naszą inicjatywę i utrzymuje umysł ludzi w stanie świeżości... Kwasoród jest alfa i omega całego naszego życia... Niestety, zmniejszają się światowe zapasy kwasorodu... Czy wie pan, co jest przy-

czynami zmniejszenia się zapasów?

— Nie wiem. — Oczywiście coś może wiedzieć taki mleczak w nylonowych skarpetkach jak pan? Głównymi przyczynami zmniejszenia się światowych zapasów kwasorodu są komin.

— Komin — powtórzyłem.

— Tak jest, komin... Spełniają one w naszym życiu tę rolę, jaką przy wzniecaniu kurzu spełniają pojazdy mechaniczne, przemarsze wojsk a zwłaszcza kawalerii... wytwarzają sadzę, co czerni biony naszych płuc, brudzi obrusy, zakopca obrazy na ścianach, zatrutwa powietrze składnikami szkodliwymi dla obieg krwi... Gdybyśmy wiedzieli, ile to sadzy spada codziennie na budynki, ulice i skwery, już dawno przestalibyśmy stawiać domy z kominami... Znikłyby z powierzchni ziemi te śmieszne sylwetki kamienie, kompromitujące człowieka i jego bezbożny plód: miasto... Miasto! ha, ha... Miasto to zbiorowisko żelazokamiennych klatek, oddzielonych od siebie twardymi chodnikami, na których nogi nie można postawić, żeby człowiek coś w mózgu nie kolnęło... Miasto, pozabawiona zieleni pustynia, wystawiona na działanie promieni sło-



necznych jak Sahara. ziejące ku niebu wylotami osmalonych kominów, z których buchają kłęby dymu... Wasze ukochane miasto, wasza MDM!... ha, ha, trzymajcie dwóch, bo jeden nie ma co.

Myśliciel stanął na kamieniu i zaczął sobie pomagać przy mówieniu rękami.

— A czy sądzi pan, że tylko komin są główną przyczyną zła?

— Nie sądzę.

#### NASZE ODZIENIE NAS GUBI

Filozof przymrugnął lewe oko.

— Nie zdajemy sobie sprawy ze znaczenia odzieży w naszym życiu... Tkwiemy psychiką w epoce kamienia łupanego, a zdaje się nam, że przerośliśmy swą wielkością tramwaj, że posiadamy bodaj te rozumy, jakie posiadał Katon, obrabiający rolę w stroju adamowym i pozwalający swej skórze czerpać z otoczenia życiodajny kwasoród.

Myśliciel zszedł z kamienia i otarł pianę z ust.

— Bo spojrz na swą odzież... spojrz na swe obuwie, na ten istny wynalazek szatana... Z pozorów jest to niewinny przyrząd do osłaniania twojej nagosci, w rzeczywistości zaś jest to skórzane więzienie co tamuje obieg twojej krwi, utrudnia naturalną transmutację ciepła, ugniata ów naturalny cokol człowieka stopy, co w samoobronie przed uciskiem pokrywają się warstwą zrogowaciałych modzeli—odcisków, wykrzywają się jak ogórki hodowane w butelkach... A spojrz pan na wazutkie nogawki swych spodni, na to wehniałe opakowanie gołeni i łądwi, utrudniające ci ruchy i kompromitujące cię wobec zwierząt...

Spojrz na ozdobę twojego podgardzia: krawat... na ten jedwabny strzyżek, nad pętlą którego mozolisz się pan codziennie jak kat szkującej się do wystania na drugi świat skazańca... Dotknij pan swego kołnierzyka krepującego ruchy twojej szyi i podobnego do

psiej obroży... Czy ma się pan czym pochwalić wobec kobiety?... Kobiety, tego filigranowego cacka o dwóch uszkach, zasłaniającego swęda spódniczką zszytą za ledwie z dwóch kawałków jedwabiu i pozwalającego swemu dekolotowi być równocześnie... wentylatorem, moderatorem ogni wewnętrznych i filtrem...

— Nie ma się czym chwalić — spuściłem skromnie oczy.

— Jeśli przyznaje pan, że nie ma się czym chwalić, to czy pomyślałeś, że nasze ciała gnębione odzieżą zaniknie kiedyś, jak zanikło nasze pierwotne futro, okrywające naszą nagosć?

— Nie, nie pomyślałem o tym...

— Jeśli nie pomyślałeś o tym, to wiedz, że najsędziej kiedyś dzień, kiedy tułów ludzki ścisłany paskiem zwięzi się w miejscu ścisłania do grubości nadgarstka, rury zaś naszych oskrzeli zostaną zacpopowane sadzą jak cygarniczki nikotyną i wcale już nie będziemy mogli ściągać z atmosfery niezbędnego do życia kwasorodu... Czy wierzysz pan w to?

— Wierzę — zgodziłem się — ale na miłość boską, już od kwadransa mówię pan o tym kwasorodzie, a ja ciągle nie wiem, co to jest.

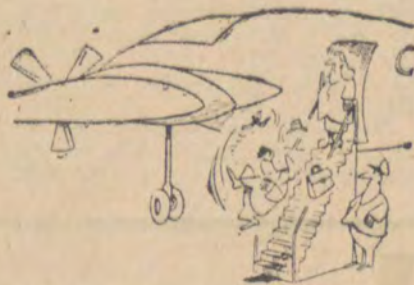
— Co to jest kwasoród, człowiecze ery atomowej, sa molotów odrzutowych i energii, dzielonej przez fizyków na kawałki jak ser? Kwasoród, duszytko ludzka w nylonowych skarpetkach, nie umiejąca znaleźć skutecznego środka na porost włosów, a szkująca się do podboju Drogi Mlecznej... Kwasoród to według staromodnej terminologii... tlen! „Tak jest! TLEN, mój panie.



# Cassio Morosetti



— Ogień to tylko ciekawostka, mój drogi. Zaręczam, że nigdy nie znajdziesz praktycznego zastosowania



— A nie mówiłem, że samoloty są niebezpieczne



— Trochę cierpliwości, kochanie — muszę się wreszcie nauczyć tego tricku



— Halo, Halo!!! Tu sportowa służba sprawozdawcza...

Nowy talent ujawnia się czasem w bardzo niezwykły sposób. W roku 1949 — 27-letni wówczas Cassio Morosetti z zawodu dziennikarz — został delegowany na jakąś konferencję naukową. A ponieważ konferencja była nudna — zaczął na blankiecie zaproszenia szkicować różne śmieszne figurki. Podpatrzył to znajomy plastyk — i dalej wmawiać Morosettiemu, że ma talent karykaturzysty...

Dobre oko miał ów plastyk, nakłoniony przez przyjaciela Morosetti wydukał w swojej gazecie pierwsze żarty. W rok później był już humorystą sławnym w całych Włoszech. A następnie — i w innych krajach. Obecnie Morosetti żyje wyłącznie z rysowania.

Popularność włoskiego karykaturzysty wynika z prostoty jego pomysłów. Tworzy sytuacje czytelne, zrozumiałe — lecz jednocześnie nie banalne. Nie znajdziemy tu wyszkiełanych konceptów o antypatycznej teściowej...

Najczęściej wraca w zrzecznych dowcipach Morosetti motyw ludzi upartych, którzy wbrew wszystkim okolicznościom, wbrew całemu światu — trwają przy swoim. I stąd — zawsze popadają w tarapaty...

(JERT)

Redaguje Zespół \* Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” \* Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 86, Tel. 24 78 \* Warunki prenumery: 1/1 miesięcznie 4— zł, kwartalnie 12— zł \* Redakcja nie zamawia reklam \* Prenumerata przyjmowana w punktach pocztowych, listonoszów oraz PUPIK „Ruch” — z oznaczeniem na „Ogłoszenia” Druk RSW „Prasa” Łódź 7-10-11 Z. 1527, V. 80 r. R-30

## Najostrzejsze ołówki świata

# „WSZYSTKO O EWIE“



Dwa spóźnione na naszych ekranach filmy „Wszystko o Ewie“ Mankiewicza i „Bulwar zachodzącego słońca“ Wiltera kojarzyć się mogą podobieństwem tematu i ukazanego środowiska. Podobieństwo to jest chyba jednak tylko pozorne.

Reżyser „Bulwaru“ ukazując jednostkową historię przemijającej sławy aktorskiej, kompromituje jednocześnie wyraźnie określone środowisko.

„Wszystko o Ewie“ dąży do przedstawienia jakiejś bardziej ogólnej prawdy o wiecznym konflikcie jednostek młodych, dążących do swego celu i sławy, z tymi, którzy to wszystko już osiągnęli i będąc u szczytu swego powodzenia obawiają się degradacji.

Trudno się spierać z intencją reżysera, ale nie trzeba było chyba aż tak spodlic Ewy, aby ten odwieczny problem ukazać. Jej upór i bezwzględność oburzając — wzbudzają podziw, a jednocześnie współczucie. Koleje losu są nieuniknione — Ewę spotka to, co dziś spotkało Margot.

Mankiewicz, porządnie skompromitowany u nas „Bosonogą contessą“ — teraz „zrehabilitował“ się doskonałym rzemiosłem reżyserskim i umiejętnością przedstawienia środowiska. Charakteryzuje je zarówno poprzez doskonałe rozegranie głównego konfliktu, jak i zarysowanie mnóstwa sytuacji i postaci marginalnych.

Film „Wszystko o Ewie“ posiada walor rzadko spotykany, a ściślej mówiąc — słyszany (zwłaszcza przy dubbingu): wymieniony dialog.

Dialog, który traktujemy w filmie często tylko jako niezbędny element, posuwający akcję naprzód — tu, sam w sobie staje się nie lada atrakcją. Zwłaszcza, gdy uczestniczy w nim Margot, kapitalnie grana przez Betty Davis. Talent i temperament tej aktorki przyczynia się niewątpliwie w obrzynie części do sukcesu tego filmu, w którym dobre aktorstwo jest zresztą ogólną cechą wszystkich postaci.

EWA NURCZYŃSKA.

# Makuszyński po raz drugi



— Czy książki Makuszyńskiego są „filmowe“, tzn. czy łatwo poddają się ekranizacji? — pytamy reż. Marię Kaniewską.

— Nie. W tym względzie Makuszyński okazuje się autorem niesłychanie trudnym. Klimat jego powieści leży nie w akcji ani w dialogu — znajduje się w opisie reakcji jego bohaterów.

— Jak w takim razie wytłumaczyć przystąpienie Pani do filmowania już drugiej jego powieści? Czy może sukces „Awantury o Basię“?

— Między innymi. Nie przypuszczałam, że zapotrzebowanie na Makuszyńskiego „na ekranie“ jest aż tak duże. Po ukazaniu się „Awantury o Basię“ otrzymałam mnóstwo listów, w których młodzież prosiła jeszcze — o „Pannę z mokrą głową“, „Wyprawę pod psem“, „Szaleństwo panny Ewy“ i „Szatana z siódmej klasy“.

— Wiemy że zdecydowała się Pani kręcić „Szatana z siódmej klasy“?

— Tak. Poza „Basią“ spróbowałam zaryzykować jeszcze adaptację „Szatana“.

— Na czym, Pani zdaniem, polega przyczyna dzisiejszego powodzenia Makuszyńskiego?

— Mnie osobiście pociąga jego serdeczny stosunek do ludzi, ciepło spojrzenia.

Uważam także, że Makuszyński jest pisarzem bardzo współczesnym, uchwycił trwałe, ponadczasowe cechy młodzieży, choćby dążenie do romantyzmu. Jako pedagog rozmawiam często z młodzieżą dzisiejszą. Wielokrotnie pytałam czy mogliby na niektóre wydarzenia reagować podobnie jak bohaterowie „Szatana z siódmej klasy“. Okazuje się — tak. Miałam więc podświadomość, by akcję filmu przesunąć o 25 lat do przodu.

— W jakim stopniu zaważawane są prace nad filmem?

— W drugiej połowie kwietnia zaczęliśmy zdjęcia. Skończymy je pod koniec lipca. Sądzę że z początkiem nadchodzącego sezonu można będzie film oglądać.

— Interesują mnie jakieś ciekawostki z pracy...

— Biedzimy się nad tytułem. Siódma klasa, to w czasach Makuszyńskiego klasa naturalna. A „Szatan z XI klasy“? — Brzmi to chyba nie „po makuszyńskiemu“.

— Kto wystąpi w rolach młodych bohaterów?

— Pola Raksa — wrocławska młodzieżka studentka filologii i Józef Skwark — student III roku łódzkiej szkoły teatralnej.

Rozmawiał  
TADEUSZ ŻAKOWIECKI

# „OKO ZA OKO“

Ten niezły zrealizowany pod względem formalnym film jest potknięciem w twórczości znanego reżysera Andre Cayatte'a. Twórca filmów rozważających problem winy i kary („Wszyscy jesteśmy mordercami“, „Sprawiedliwość stało się zadość“, „Czarna teczka“) wyraźnie odbiegł tym razem od swego cyklu prawniczego.

Zamierzeniem reżysera było potępić wymierzanie sprawiedliwości przez jednego człowieka. Posłużył mu do tego biblijny werwet ze starożytności „Okno za okno, ząb za ząb“. Niestety biblijne moralizacje przeniesione w drugą połowę naszego wieku dla samej chęci dyskusji tracą myśkłość. Logikę postępowania ludzi zastąpił Cayatte pustymi sofizmami,

każąc Bogu ducha winnemu chirurgowi z afrykańskiego szpitala czuć się winnym śmierci absolutnie niezawinionej.

— Zmęczony pracą lekarz odesłał do szpitala chorą pacjentkę pod opieką jej męża. Po drodze niestety zepsuł się samochód. Chora zmarła podczas operacji. Czy miał zatrzymać ją u siebie w domu? Postąpił w zgodzie ze swoim obowiązkiem i sumieniem lekarza, tak, jakby to zrobił inny człowiek na jego miejscu. Inaczej — prawę przedstawiają twórcy filmu. Ich bohater, sam nie wiedząc dlaczego ma wyrzuty sumienia. Jest w dodatku prześladowany przez męża zmarłej. Zostaje wciągnięty w pułapkę.

Opis „technologii“ zemsty

odznacza się makabrycznym naturalizmem. Perypetie bohaterów są porządnie naciągane — a to w celu udokumentowania bardzo cichej ba wątpliwej filozofii.

Dobre rzemiosło reżyserskie Cayatte'a uwiadamia się tylko w budowaniu atmosfery grozy. Nie bez znaczenia jest talent odtwórców głównych ról: Curda Jürgensa w roli lekarza i Folco Lulli jako fanatycznego mściciela. Bardzo udane pod względem dramaturgii i plastyki zdjęć są szczególnie ostatnie sekwencje. Cyhanie dwóch mężczyzn na swe życie wśród skalistej pustyni przypomina finał znakomitego filmu reż. Eicha von Stroheima „Chciwość“. A. NIESMIAŁEK



# „ZŁAMANA STRZAŁA“



Wspaniały krajobraz, konie, strzały, dwie walczące strony — Indianie i biali, szlachetny bohater i piękna kobieta — to prawie niezmiennie elementy każdego westernu. „Złamana strzała“ nie uchyla się również od tej reguły. Western — to rodzaj filmu, mający szczególne przywileje — przebacza mu się sceny, które się zna z dziesięciu innych filmów — tyle, że raz strzela czy całuje Kirk Douglas („Indiani wojownik“) a raz James Stewart.

Jest jednak w „Złamanej strzale“ coś nowego — na walkę i losy bohatera patrzymy przeważnie od strony Indian. Do

ich obozu włączamy wraz ze sprawiedliwym, szlachetnym a rycerskim potem i zakochanym w Indianie kapitanem. To bezpośrednie przyjazne zetknięcie się z Apaczami pozwala twórcom filmu zilustrować tezę, że po każdej stronie są ludzie mądrzy, szlachetni, podli i głupi. Cechy te, dodając jeszcze po każdej stronie przystojnego mężczyźnię, waży reżyser na jakiejś bardzo dokładnej wadze. Ale zapomnieli się, przeważali — po stronie Apaczów jest jeszcze ładna kobieta. Uff! gdyby to nie był western...!

E. N.



# EKRANIK

MYLENE DEMONGEOT — której duży i trochę rozebrany fotos drukowaliśmy w poprzedniej „Mieszance“ — gra obecnie jedną z głównych ról we włoskim filmie „Pod dziesięcioma flagami“. Reżyseruje — Claude Autant-Lara, a realizację finansuje potężny i ambitny producent Dino de Laurentis. Film opowiada o losach niemieckiego statku wojennego, który upozorowany na jednostkę handlową pod banderą coraz to innego państwa neutralnego — atakuje niespodziewanie okręty alianckie w czasie młodej wojny. Poza wspomnianą Mylene — w skład międzynarodowej obsady aktorskiej wchodzi: Charles Laughlin, Folco Lulli, Françoise Rosay, Erika Remberg, Eleonora Rossi-Drage.

„BEN HUR“ — superfilm amerykański, barwny i panoramiczny, którego wyświetlanie trwa z górą 3 i pół godziny — został pokazany poza konkursem na inaugurację Festiwalu w Cannes. Zgodnie z oczekiwaniami — pokaz wywołał bardzo chłodne komentarze, lub po prostu drwinę. Jedno tylko jest w „Ben Hurze“ chwalebne — dynamiczna sekwencja wyścigu kwadryg, trwa-



# ROMY SCHNEIDER

ulubiona aktorka NRF



jąca cały akt ponad 10 minut) — i ani na chwilę nie nuży. Ale akurat tej sceny nie realizował Wyler, tylko jeden z jego asystentów, anonimowy specjalista od scen masowych, batalistycznych i „niebezpiecznych dla zdrowia aktorów...“

„KARTAGINA W PLOMIENIACH“ — to inny superfilm, nakręcony we Włoszech, przez Carmino Gallone, z Pierre Brasseur, Anne Heywood i Danielem Gelin. I to dzieło, choć krytycy wyrażali się o nim z przekąsem, nie potrafiło zrazić publiczności. Tego rodzaju przedsięwzięcia, mimo ogromnych nakładów — przynoszą na Zachodzie ciągle ogromne zyski. Pewnie dlatego, że kolor, panorama, kręcone z rozmachem sce-

ny plenerowe — stanowią wyraźny kontrast do ciasnych ram ekranu telewizyjnego.

BRIGITTE BARDOT — występuje w roli złodziejki w najnowszym filmie reż. Henri Clouzota (twórca „Widma“, „Ceny strachu“). Za tydzień — fotos Brigitte z pierwszego jej filmu po urodzeniu syna.

HOFFMAN I SKORZEWSKI — dwaj młodzi, nierozłączni realizatorzy — dokumentarzyści (Karuzela łowicka, „Typy na dziś“) — mają zadebiutować w filmie fabularnym. Jeden z przygotowywanych dla nich scenariuszy jest adaptacją międzywojennej powieści Juliusza Kaden-Bandrowskiego „Czarne skrzydła“.

DONALD